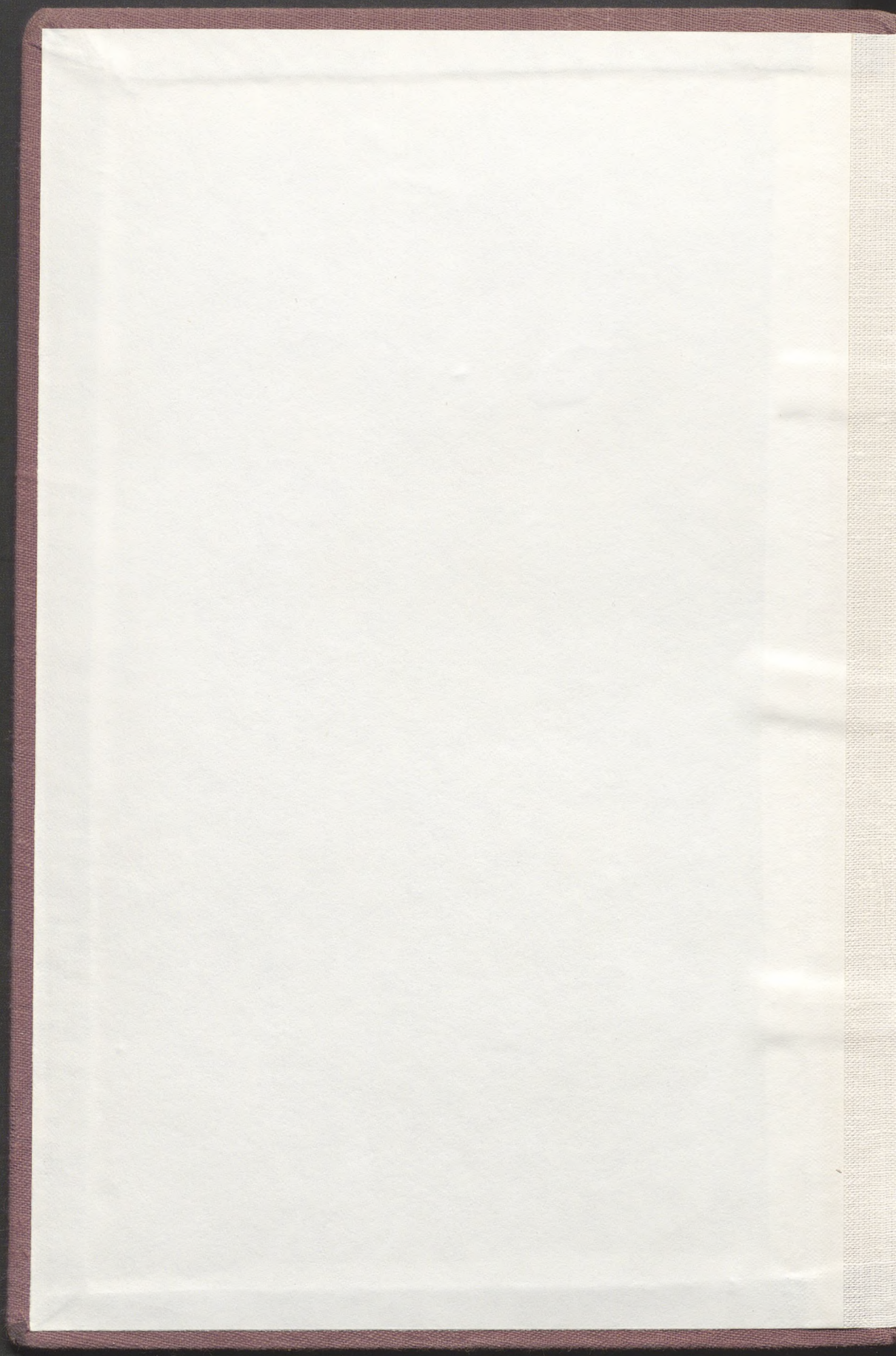
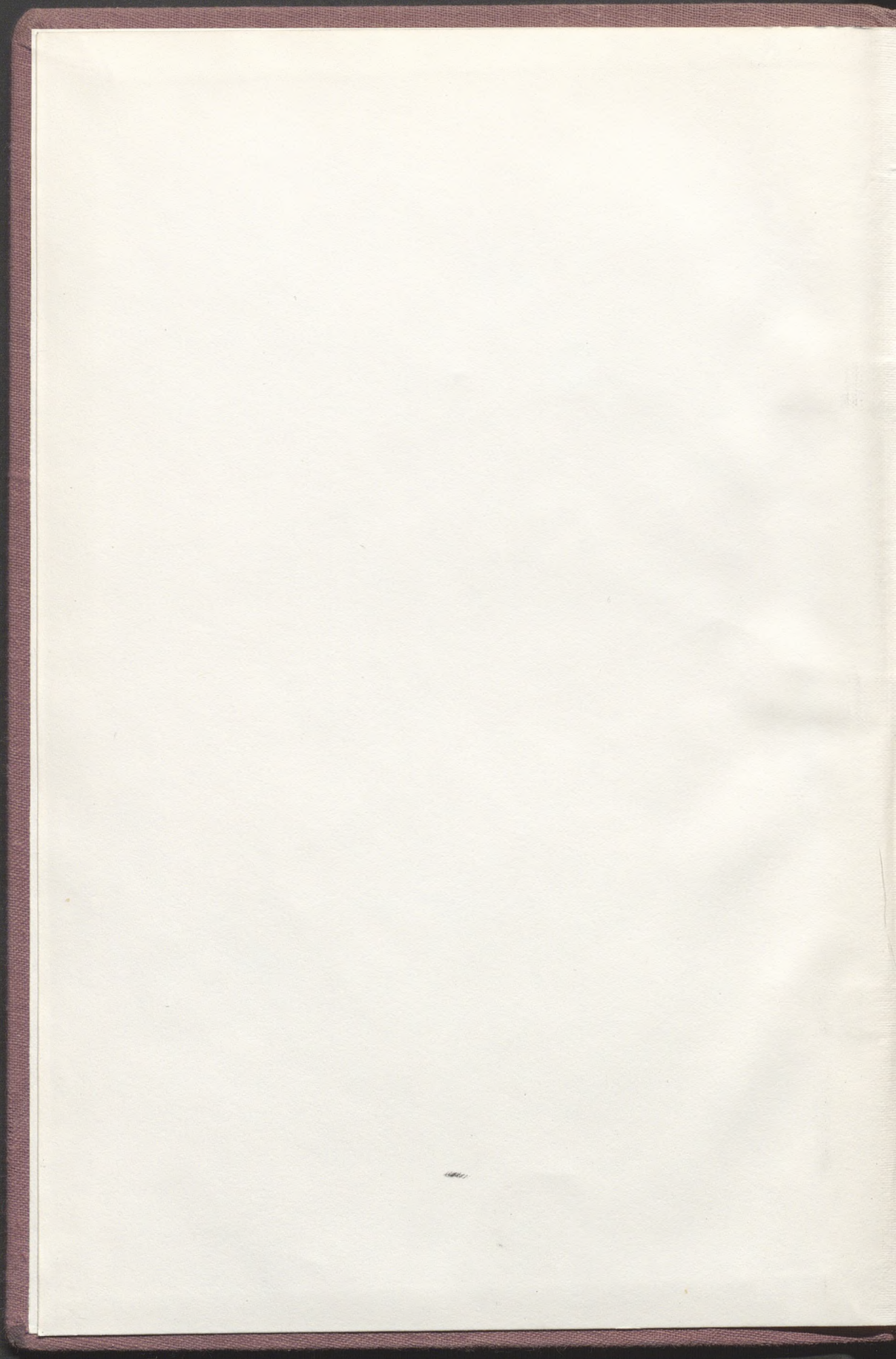


2004920







11 2.004.920

# O NIEZNANYCH BOHATERACH



HISTORYCZNY KOŚCIÓŁ W NIEDŹWIEDZICY.

**KARTKI Z DZIEJÓW ZIEMI MIŃSKIEJ**

== ZEBRANE PRZEZ M. DOMAŃSKĄ ==

10919 (1)

959

27 11 2.20

VERMONT  
BOHATERA CH

1890

VERMONT BOHATERA CH

VERMONT BOHATERA CH

VERMONT BOHATERA CH

42597

# O NIEZNANYCH BOHATERACH

## KARTKI Z DZIEJÓW ZIEMI MIŃSKIEJ

ZEBRANE PRZEZ  
M. DOMAŃSKĄ

---

KRAKÓW \* SKŁAD GŁÓWNY GEBETHNER i S-KA \* 1911  
DRUK W. KORNECKIEGO i K. WOJNARA POD ZARZ. A. NOWAKA

76740



KARTKI  
Z DZIEJÓW ŻYCIA POLSKIEJ

M. DOMAŃSKA  
ZBIORY

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001010172412



DRUK W. KORNECKIEGO I K. WOJNARA POD ZAKŁ. A. NOWAKA  
KRAKÓW • SKŁAD GŁÓWNY GEBETHNER I S-KA • 1911



## Zamiast przedmowy — odezwa.

Książka ta zakresła sobie skromne zadanie: chce tylko przypomnieć. Przypomnieć nie tyle niedawne dzieje, o których opowiada — ile to, że dziejów takich w naszym kraju (myślę o Litwie i Białorusi) tyle niemal, ile w nim zaścianków, miasteczek, kościołów, kaplic — nawet krzyżów przydrożnych. — Że jak gęsto pola nasze usiane polnemi kamieniami i krzakami cierni, tak gęsto rozrzucone po nich brylanty łez, krople krwi, złoto ofiar bezcennych i bohaterstw cichych, siebie nieświadomych, nikomu nieznanym.

A o tem nie pamięta nikt!...

Nie znalazł się dziejopis, któryby się schylił po te wstrząsające — wszystkiemi niemi z naszymi sercami związane — dzieje, aby je utrwalić, dać poznać współczesnym i przekazać potomnym. A ostatni czas po temu i dłużej zwlekać nie można. Pokolenie, które tworzyło i przeżywało tę bolesną epopeję — schodzi już do grobu. Po niem jedynemi, ale i niememi, świadkami pozostaną tylko chyba: ta ziemia, w którą wsiąkały krew i łzy i niebo, w które bił płacz krzywdy. Lecz one nie przemówią i dzieje te stracone będą dla nas na zawsze. A szkoda byłaby niepowetowana.

Marzę o tem — marzę gorąco — całą siłą przywiązania do bronionych świętości i do szarych obrońców-bohaterów, aby w każdym zakątku naszego kraju, gdzie się znajdowali — a gdzież ich nie było?... — dziś znalazł się człowiek dobrej woli, któryby poprostu, bez literackich lub dziejopisarskich pretensyi, opowiedział ich walki i ich męczeństwa. A wówczas z tych luźnych kart co za wspaniała powstałaby księga! Epopea miłości i bólu. — I któryż naród pochwali się podobną?...

Czy to marzenie niemożliwe do spełnienia? Jak trafić do serc współbraci, jak wywołać zainteresowanie, jak wstrząsnąć dziwną na tym punkcie obojętnością i apatią?...

Nie wiem?...

Chciałam przypomnieć i chciałam zachęcić i opowiedziałam — jak umiałam i mogłam ponurą historię popowstaniowych prześladowań i walk w swej okolicy, t. j. w Słuczczyźnie z dodatkiem kilku epizodów dramatyczniejszych i bardziej znamienych z Mińskiego i Pińskiego powiatu i ze szczególnem uwzględnieniem wspaniałych — bo tryumfalnych dziejów Niedźwiedzicy.

Wiem, że praca moja ma dużo braków i tego tylko pragnę, aby się znalazł ktoś, co ją lepiej poprowadzi i wykona, co sięgnąć może i do własnej pamięci i z niej wydobyć fakta młodszym pokoleniom nieznanym. Ja tego uczynić nie mogłam i musiałam poprzestać na pamięci cudzej, na zbieranych z ust świadków i uczestników opowiadaniach — i oczywiście — na dokumentach.

Niech więc idzie w świat historia Niedźwiedzicy, Wołmy, Łohiszyna i innych. Nie wierzę, aby mogła nie wzruszyć. Może obudzi echo; a wówczas cel będzie osiągnięty.

## WIEŚ NIEDŹWIEDZICA.

Nie wiele brakło, a Niedźwiedzicę stawiano by w dziejach obok przeraźliwej w swej grozie — historii Kroź... Na szczęście jednak ta karta z dziejów bohaterstw naszego ludu, jedna z piękniejszych, jakie posiadamy, nie jest kartą krwawą. To, że tak mało jest znaną ogółowi w całości i w szczegółach, i nie tylko już szerszemu ogółowi, ale nawet bliższym jej, przypisać tylko można bezprzykładnej obojętności i apatii naszej. Są tacy — terytoryalnie niezbyt od niej oddaleni, którzy nic o Niedźwiedzicy nie słyszeli; są inni, którzy znają parę najjaskrawszych, najznamienniejszych faktów i to niedokładnie; a ileż wieści przekreślonych albo wprost kłamliwych! Sprawa ta zajmowała sobą jedynie prasę rosyjską (a w szczególności *Ruś* w r. 1905). W prasie polskiej nie pojawiła się prawie wcale. Nawet przejmująca uroczystość otwarcia pierwszego kościoła ocalonego w listopadzie 1905 r., nie odbiła się żadnym echem na szpaltach pism polskich. Jeszcze trochę, a te szczytne, zdumiewające dzieje zagięłyby na zawsze w niepamięci ogółu i zeszyłyby do grobu wraz z tymi szarymi ludźmi, którzy byli ich bohaterami. Czy warto było ocalić je od tego losu i starać się utrwalić — niech osądzą czytelnicy.

Niedźwiedzica, duża wieś z urzędem gminnym, leży o wiorst kilometrów od stacji Lachowicze kolei Poleskiej, w gubernii mińskiej a powiecie słuckim. Sosnowy las dzieli ją od szosy idącej od Brześcia do Moskwy. Parafialny kościół niedźwiedzicki, spalony w czasie najazdów tatarskich, odbudowany został staraniem ks. Radziwiłła, biskupa wileńskiego w r. 1645 pod wezwaniem św. Piotra i Pawła. Akt konsekracji ołtarza, dokonany przez biskupa

Macieja Ancutę, odbył się w r. 1714. Drewniany, skromny, typowo wiejski kościółek z bocianiem gniazdem na słomianej strzeższe, z ciekawą starożytną dzwonnica, dziś już nie istnieje. Rozebrano go w sierpniu 1906 r., aby na temże miejscu postawić nowy. Pozostała tylko stara plebania, ocieniona lipą olbrzymką. Parafia niedźwiedzicka liczyła kilka tysięcy dusz; należały do niej wsie: Rusinowicze, Horodyszczce, Łopatycze, Hajnin, Hajniniec, Talminowicze, Mazurki, Smoleniki, Kurszynowicze i inne.

Dzieje 40-letniej martyrologii parafii niedźwiedzickiej rozpoczynają się właściwie od r. 1866. Były to straszne w historii i w pamięci ludzkiej lata, kiedy nad Wilnem świeciła jeszcze luna krwawych represalii, a nad krajem zawisła śmiertelna rozpaczna cisza... Jedynym znakiem życia była silna praca rządu nad zrusyfikowaniem ludności.

Dwojaka ku temu wiodła droga: wprowadzenie do kościołów języka rosyjskiego i nawracanie na prawosławie. Do pierwszej z tych prac potrzebne było duchowieństwo i znalazło się takie, odpowiednie nowemu kursowi, ze szkoły i ducha prałata wileńskiego Żylińskiego, a zostające pod zarządem gubernatora mińskiego Tokarowa, po skasowaniu dyecezyi mińskiej. Nawracanie zaś powierzono miejscowej władzy, policy i popom. Awanse, nagrody, zapomnienia o przeszłych, nieraz krzyczących wykroczeniach, były zachętą w tej robocie. Wykonanie pozostawiono inwencji poszczególnych jednostek, przy zupełnej swobodzie postępowania. Otwierało się pole do zasług szerokie; zamknięcie kościoła, nawrócenie przymusowe wsi, wywiezienie księdza, wszystko to szczeble w karierze, lub co najmniej jednorazowa nagroda. Toteż robota szła gorliwie.

Parafie katolickie w Stwołowiczach, Swojatyczach, Snowiu, Mirze, Bobowni, Hrózowie, Zamościu, i t. d... i t. d... były kasowane, księża wywiezieni, kościoły zamienione na cerkwie. Kiedy najbliższe kościoły w Krzywoszynie i Lachowiczach zabrano, a ludność znanymi sposobami nawracano, Niedźwiedzica pozostała wśród tego spustoszenia, jak oaza. Zostawiono ją na ostatek w przekonaniu, że łatwa z nią będzie sprawa.

— Tymczasem wsłuchiowano się trwożnie w hiobowe wieści, oburzano się na podstęp w zabranii Lachowickiej świątyni<sup>1)</sup>, płakano razem z nieszczęśliwymi Lachowiczaniem, którzy swój ból i łzy nieśli do niedźwiedzickiego kościoła — i oczekiwano swej kolei. — Oczekiwanie nie trwało długo.

Na widowni zjawia się Maciej Żabik, pośredni sprawca wszystkich następnych bied Niedźwiedzicy. Ciemna figura, z oficjalisty dworskiego awansowany na pisarza niedźwiedzickiej gminy w nagrodę za zmianę wiary, zażarty jak wszyscy renegaci, przebiegły, śledzący baczenie ruch wśród ludności, on to wraz z mirowym pośrednikiem<sup>2)</sup> Masłowem, wziął w swe ręce sprawę nawrócenia parafii niedźwiedzickiej.

W początkach roku 1866, Masłow zwołać kazał zebranie gminne („schod“).

W sposób łagodny począł przemawiać do zebranych, działając naprzód perswazyą.

— Oto, bracia, Krzywoszyn i Lachowicze przyjęły już prawosławie, przyjmcie i wy. Będziecie lepszymi ludźmi, dostąpicie łask u rządu. Namyślcie się. Ja tu znów przyjdę i wszystko urządzę, ułatwię. — Jak ty myślisz, starszyna?

— Cóż ja jeden mam myśleć — odpowiedział wymijająco zagadnięty Antoni Kolesiński.

— Jakże? Ty przecież głowa! Pomyśl dobrze.

W systemie postępowania urzędowych misjonarzy leżało zawsze, jako zasada, żeby nawracać wprzód jednostki najbardziej wpływowe i znaczące. Do takich należał Antoni Kolesiński, ale wiadano zarazem doskonale, że go skusić niczem nie będzie można. To też Masłow pospieszył go usunąć, a na stanowisko starszyny nazначył prawosławnego Mikołaja Jurucia. Zjechała wówczas cała komisya, złożona ze sprawnika Masłowa, żandarmów, uradników i Żabika, i poraz drugi wezwano wszystkie wsie katolickie do gminy. — Zebrany kazano wybrać z pomiędzy siebie dwóch przedstawicieli dla porozumienia się z komisją. Wybrano tegoż Kolesińskiego i Józefa Kancelarczyka i postanowiono po naradzie na nic się nie zgadzać i wręcz odmówić. Gdy delegaci stanęli przed komisją, usłyszeli znów te same namowy:

— Idźcie za przykładem Krzywoszyna i Lachowicz, im łaski rozdają, starszynie Krzywoszyńskiemu sam gubernator medal na

1) Władze skorzystały dla zabrania kościoła z obecności komisji uwłaszczającej, z którą cała ludność wyległa w pole.

2) Urząd odpowiadający mniej więcej dzisiejszemu ziemskiemu naczelnikowi.

piersi zawiesił za to, że on pierwszy przyjął prawosławie. I wy będziecie sławni. Pomyślcie!

Odpowiedziało milczenie.

— Cóż? Jużście się naradzili?

— Myśmy się naradzili tak: — odpowiedział z powagą Antoni Kolesiński — ciało nasze możecie wziąć, ale duszy swej w łapy wasze nie damy!

Zbici z tropu tą odpowiedzią, uważali dalszą dyskusję za zbytęcną i rozpuścili zebranych.

Rozpoczęły się odtąd szykany i prześladowania. Dwa i trzy razy tygodniowo wzywano do gminy. Zabierano dziennie po kilka furmanek dla pisarza i starszyny i innych urzędników. Nakładano ciężary innym gminom należące, jak naprawa dróg i mostów. Żandarmi i policya snuli się nieustannie. Usiłowano wziąć podstępem. Tak np.: siedm osób wybranych z kilku wsi zapędzono do Siniawki i tam dla jakiejś nieznaney im sprawy kazano przysięgać u popa. Oczywiście zużytkowano by tę przysięgę w sposób odpowiedni. Za odmowę zamknięto ich do aresztu, („chołodnej“) — i oddano pod sąd. Sędzia pokoju w Klecku skazał ich na zapłacenie po 10 rubli kary za nieposłuszeństwo.

Były i pojedyncze namawiania wybitniejszych z pośród włościan. Pewnego razu Żabik, starszyna i żandarm zapraszają Józefa Kancelarczyka na piwo do zajazdu. Usiłują go koniecznie spoić miodem i piwem, bo wódki nie brał do ust. Potem zaczynają mu opowiadać o prawosławiu:

— Wielka to wiara, sam cesarz ją wyznaje i wszyscy urzędnicy.

Naraz wydostają papier i podsuwają mu do podpisu. Kancelarczyk, widząc, że to nie przelewki, zrywa się z za stołu, chwytając za czapkę i ucieka.

Wobec bezskuteczności tych usiłowań, Żabik wraz z Masłowem obmyśla wreszcie i wykonywa iście machiawelski plan. Najprzód pod pozorem rewizyi spisu mieszkańców objeżdża wioski i spisuje. Potem wzywa niepiśmiennych starostów ze wsi Mazurki, Palminowicze, Rusinowicze, Kurszynowicze i Horodyszczce (starostowie z Łopatycz i Niedźwiedzicy mimo grózb nie przybyli, przeczuwając podstęp) — i każe im niby potwierdzić owe

spisy przyłożeniem swoich pieczęci. Mniemany spis był prośbą parafian o przyjęcie na łono prawosławia.

Gdy dowiedziano się o podstępie — było już zapóźno. Niedźwiedzicka parafia urzędowo została uznana jako prawosławna, proboszcza ks. Łazarewicz wywieziono do Słucka, a sąsiednich księży przez konsystorz zawiadomiono, że pod groźbą wielkiej odpowiedzialności nie wolno im przyjmować Niedźwiedziczian do kościołów i sakramentów.

Masłów otrzymał order, a Żabik pieniądze wynagrodzenie (awansował dalej i obecnie piastuje urząd w zarządzie miejskim w Nieświeżu).

Odtąd rozpoczyna się walka bezwzględna, okrutna... Niedźwiedziczanie postanowili nie poddać się przemocy i podstępowi i bronić się do ostatniej kropli krwi, a solidarnie we wspólnej niedoli braterstwie! — Pomimo urzędowego zaliczenia ich do prawosławnych, pozostali katolikami — a chodziło jeszcze o nawrócenie ich faktyczne. I znów zwrócono się do znaczniejszych, Kancelarczyka i Kolesińskiego, lecz teraz już nie z namową, a z użyciem gwałtu. Kolesińskiego Antoniego za opór zaarrestowano i odesłano do Cimkowicz, aby go „błahoczynny“ nawrócił. „Błahoczynny“ zamknął go do piwnicy. Siedm dni trwało nawracanie; za opór nie dawano mu jeść. W tym czasie przybył archirej z wizytacją parafii. Zasłyszawszy o uwięzionym, kazał go przed siebie stawić. Wyczerpany i wygłodzony Kolesiński ledwo się trzymał na nogach. Widok jego wzbudził litość w archireju.

— Zamknęliście go — rzekł — to zamknęli, ale pocóż go głodzicie? Czy chcesz przyjąć świętą wiarę prawosławną? — zapytał więźnia.

— Nie! — brzmiała stanowcza odpowiedź.

— No, to „stupaj!...“

Z Horodyszczem, Kuleniami i Jurzdyką gorzej postąpiono. Epizod ten rzuca jaskrawe światło na „działaczy“ ówczesnej doby w nieszczęsnym kraju. Gdy namawianie nie pomogło, z wiosek tych wybrano 50 osób i odstawiono je do gminy w Potapowiczach. Sprowadzono liczny zastęp policji i kozaków, którzy stali wówczas w Lachowiczach, — dla strzeżenia przybyłych, zamkniętych w chlewie. Kilkakrotnie w ciągu dnia stawiano ich przed komisją złożoną z popów, urzędników, żandarmów i policji. Po

dwóch dniach daremnych namów i obietnic, chwycono się sposobu nawracania — nahajkami. Żołnierze smagali bez miłosierdzia; za każde odezwanie się policzkowano. Egzekucja ta trwała dni pięć — bez rezultatu. Wówczas chwycono się środków heroicznych. Zagnano do Podlesia przed cerkiew, bijąc nahajkami, popychając i waląc pięścią w plecy. Lecz prześladowani za nic wejść do cerkwi nie chcieli. Szewc Józef Anikiej bity nahajkami upadł na ziemię, wówczas chwycono go za nogi i w ten sposób wciągnięto do cerkwi. Od straszego bicia skórę zdarto Piotrowi Andruszewiczowi.

Ostatecznie wtłoczono wszystkich do cerkwi. Odbyły się modlitwy i ceremonia przyjmowania na łono prawosławia. Ludzie wrywali się płacząc i łkając, ale dwóch żołnierzy brało kolejno każdego pod rękę i przytrzymywało, podczas gdy trzeci ciągnął w tył za włosy, a pop wlewał do ust komunię.

Po odbyciu tej misji uznano ich wszystkich jako rzeczywistych prawosławnych i odprawiono do domu.

Nieszczęśliwi postanowili jednomyślnie nie poddawać się gwałtowi i bronić się wedle możliwości. Trudno jednak było skrzyć się lub szukać sprawiedliwości. Parafianie niedźwiedzicy byli tak strzeżeni i szpiegowani, że żaden z nich nie mógł napisać prośby, ani wyjechać, bo nie wydawano im paszportów. Śledzono ich nawet wówczas, gdy przyjeżdżali na targ do Lachowicz; każdy też lękał się do nich zbliżyć, aby represyi nie ściągnąć na siebie. Tak np.: Kwieciński ego z Lachowicz zasadzono na półtora miesiąca za napisanie im prośby. Dla uniknięcia niebezpieczeństwa wprzód zbierano podpisy, a potem wpisywano tekst.

Ostatecznie, Stefan Kolesiński, jeden z bohaterów tej sprawy, który życie za nią położył, postanowił ułożyć i wysłać protest przeciwko gwałtom i bezprawiom, jakie ich spotkały; opowiedzieć podstęp Żabika, pastwienie się i barbarzyństwa w Potapowiczach, w Podlesiu — oraz stanowczo oświadczyć, że są i pozostaną wierni swej wierze ojczystej. Gdy zebrał ich podpisy i wrócił do domu z gotowym dokumentem, zadenuncyował go Adam Tumaszyk z Horodyszczna, pijak i renegat.

Żabik, uriadnik i starszyna etc. pospieszili zrewidować cały dom Kolesińskiego. Znaleźli tylko skrzynkę, której w żaden sposób otworzyć nie mogli — i zabrali ją do gminy. Zbiegł się wnet tłum wielki, a Kolesiński każdemu szepnął:



— Ratujcie skrzynkę z dokumentami. Dostanie się nam wszystkim, jeśli im w ręce wpadną.

Skrzynka stała w kancelaryi gminy na stole. Porwali ją i podawali sobie z rąk do rąk. Starszyna rzucił się w pogoń, odebrał ją i upadł na nią, kryjąc ją w ten sposób. A wówczas Michał Żagun, wielki siłacz, podniósł starszynę za pas, porwał skrzynkę i uciekł z nią do lasu.

Udało się na razie, ale sprawa ta miała jak najsmutniejsze skutki.

Rozzłoszczeni potentaci władzy gminnej udali się natychmiast do Nieświeża do Masłowa. Ukazali się mu w ubraniach umyślnie porwanych i rozdartych i przedstawili się, jako ofiary gwałtu, napadu i zniewag. Masłow co prędzej udał się do gubernatora — i w rezultacie do Niedźwiedzicy przysłano secinę konnych kozaków.

Nastały dnie straszne — które opisać trudno. Kozakom dano zupełną swobodę, kazano zaopatrywać siebie i konie w rzeczy potrzebne u miejscowych włościan. Brali więc według swego uznania bydło, owce, świnie, owies, siano, chleb. Za najmniejsze słowo protestu spadały nahajki. We dwa tygodnie ogłodzono wieś. Skarżyć się nie można było, a starszyna chodząc po wsi, mówił: „Hulajcie bratcy! Sami o sobie myślcie!“ Toteż hulali. Bili, aby im dawano wódkę, bili po upiciu się tego, co ich częstował. Godność ludzka, cześć niewiarą poniewieraną była bezustannie. Trzeba było koniecznie myśleć o jakimś ratunku, a naradzić się nie było sposobu, bo pilnowano i szpiegowano. Dzielny Stefan Kolesiński usiłował wydostać się z tego oblężenia. Gdy tylko spostrzeżono, że wybiera się w drogę, aresztowano go i trzymano w gminie pod strażą.

A nad wsią zapanowało jeszcze większe przygnębienie, bo zgasła ostatnia nadzieja jakiejś pomocy i sprawiedliwości. Kolesiński jednak nie tracił ducha i czekał tylko sposobności do ucieczki. Pewnego razu, gdy straż się zagawędziła, rzucił się do drzwi. Wybiegł na ulicę i zaraz zwrócił się w stronę lasu. — Po drodze miał rzekę. Przebył ją wplaw i dotarł do lasu, gdzie już bezpieczny był na razie. Przepawę tę miał jednak później życiem przypłacić. Schronił się u łowczego lasów sawejkowskich, Maksimowicza. Ten go zawiózł w wozie ukrytego pod słomą do Kamionki, do dzierżawcy Kopylińskiego. Ztamtąd pomogli mu dostać się na stacyę do Baranowicz i do Wilna. W Wilnie Kole-

siński udał się do generał-gubernatora, przedstawił mu niedolę swoich, pastwienie się kozaków i bezprawia urzędników. W rezultacie osiągnął to, że generał-gubernator wydał rozkaz odwołania kozaków — a jemu pozwolenie na swobodny powrót do domu.

Kozaków cofnięto, ale w parę tygodni aresztowano: Stefana, Antoniego, Piotra i Ignacego Kolesińskich, Józefa Kancelarczyka i Jerzego Chodora i etapem odstawiono do więzienia słuckiego. Żona Kancelarczyka z dzieckiem na rękę towarzyszyła mu dobrowolnie.

W więzieniu przebyli rok cały. Siedzieli wszyscy w jednej celi, spędzając czas na wspólnej modlitwie i śpiewaniu pieśni nabożnych.

Lecz i tam ich ścigała gorliwie propaganda. Gdy ich wzięto jeszcze, po drodze w Hrycewiczach spotkał ich urzędnik i począł namawiać na przyjęcie prawosławia. W więzieniu odebrano im książki i zmuszano do uczęszczania na nabożeństwo w kaplicy więziennej. Pop i sprawnik przychodzili do nich z namowami. Obiecywano im wolność, gdy ulegną. Odpowiadali niezmiennie: Naznaczcie nam jakie chcecie roboty, ale dajcie swobodę modlenia się, jak chcemy.

Stefan Kolesiński, który od czasu swej ucieczki i przeprawy przez rzekę, wciąż był chory, począł gasnąć. Pozwolono umierającemu przenieść się do prywatnego mieszkania pani Jagiełłowej, gdzie umarł. — Przybył z Niedźwiedzicy Jan Kancelarczyk i począł prosić sprawnika Łabuńcowa, aby pozwolił ks. Łazarzewiczowi, dawnemu proboszczowi, wywiezionemu do Słucka, pochować Stefana.

— Nie wolno aresztantowi grzebać aresztanta, — była odpowiedź.

Zaledwie pozwolono Antoniemu Kolesińskiemu, dawnemu starszynie a ojcu Stefana, opuścić więzienie, aby mógł być na pogrzebie syna. Przyprawiono go pod silną strażą na cmentarz, ale w chwili, gdy ceremonia była już ukończoną. Niestety, niestety, ojcu pozwolono chwilę tylko pomodlić się na świeżej mogile ofiary dramatu — i wnet go odprowadzono do więzienia.

W Niedźwiedzicy tymczasem nie ustawała praca misyjarska. Przyjeżdżał sprawnik z żandarmami, przyjeżdżał pop z Hołdowicz, wzywano do gminy raz po raz, skłaniając do uległości. Staro-

stą wówczas był Karol Andruszewicz, który w imieniu wszystkich odpowiedział:

„Ciało wasze, ale dusza moja“.

Chciano go siec różgami, ale zaniechano ze względu na jego wiek podeszły. Pawła Kiełbasę obito różgami do krwi.

Ostatecznie parafian niedźwiedzickich zaliczono urzędownie do opornych i rozpoczęło się dla nich męczeńskie życie cichej walki, ukrywania się z najświętszymi obowiązkami religijnymi, co trwało aż do wydania kwietniowego manifestu.

Dla chrztów i ślubów udawano się zrazu do Nieświeża do klasztoru Benedyktynek, dopóki istniał. Tam nie prowadzono ksiąg parafialnych i kapelan po odebraniu przysięgi, że zdradczym nie będzie, udzielał sakramentu, lecz metryk nie wydawał.

Toteż policja pospieszyła rozpędzać nowo zaślubione pary, dopytując się o to, kto ślub dawał i gdzie metryka ślubna. — Odpowiadano:

— „Połączyli nas rodzice nasi“.

Dzieci nie chrzczono po 10 lat, a metryk prawnych nikt z młodszych nie posiadał. Do wojska więc brano wszystkich, nawet jedynaków. W wojsku chrzczono gwałtem na prawosławie, wciągano przemocą do cerkwi dla złożenia przysięgi.

Do spowiedzi nie chodzono po lat kilka i kilkanaście. Groziło to zbyt wielkiem niebezpieczeństwem.

Za pogrzeby bez obecności popa wzywano na sąd, kazano płacić kary. Grzebać trzeba było tajnie.

Przy takim trybie życia wyrabiała się w ludności zaciętość, a jednocześnie nieufność względem każdego obcego żywiołu, jak zwykle u prześladowanych.

Solidarność i braterstwo w tej wspólnej doli były za to bezprzykładne. Wystarczyło słowo, znak dany, aby rzucić wszystko i dążyć z pomocą towarzyszom. Wszyscy za jednego a jeden za wszystkich stawali w tej walce.

Wyrabiał się hart, duch poświęcenia...

Ludzi tych kształcono na bohaterów — mimo woli i mimo wiedzy...

Dla zilustrowania życia opornych w ówczesnej dobie — kilka scen charakterystycznych. — Świadczą one wymownie o usposobieniu i charakterze tak prześladowanych jak i prześladowców:



Żabik, pop z Hołodowicz i żandarmi wzywają pewnego dnia do gminy rodziców, którzy mieli dzieci nie chrzczone.

— Trzeba, żebyście dzieci pochrzcili, to grzech trzymać je bez chrztu tak długo.

— I owszem, ochrzcimy je natychmiast, dajcie nam tylko księdza...

Więc znów opór zuchwały! Nie wiele myśląc, miejscowi satrapi zamykają ojców w kozie („chołodnej“), a matkom odebrawszy dzieci i wypchnawszy je za drzwi, zabierają się do ceremonii chrztu przymusowego.

Kobiety wybiegły na ulicę z krzykiem:

— Ratujcie! ratujcie! Pop i „żandary“ dzieci nam porzną!..

Uderzono na alarm — kto żył, leciał do gminy. Zebrał się tłum, a postawa jego była tak groźną, że niefortunni misyonarze zaniechali gwałtu nad dziećmi, a zadowolnili się tylko obiciem różgami ojców najbardziej opornych, Stefana Piszczaka i Michała Maksimczyka.

Najtrudniej było obronić się od obecności popa przy pogrzebach. I tak: Umiera w Niedźwiedzicy po kilkodniowej chorobie Michał Romanowicz. Pod pretekstem, że śmierć była nagłą, każą konduktowi pogrzebowemu wrócić z cmentarza do chaty i oczekiwać na przybycie lekarza dla sekcji. Gdy tak oczekują, starosta Jan Kancelarczyk dowiaduje się, że zjechał do gminy pop zołodowicki i że odbywa się tam narada, w jaki sposób podejść, aby pochować zmarłego z udziałem popa. Kancelarczyk biegnie do chaty Romanowicza:

— Wieźcie co prędzej i pochowajcie, bo pop idzie chować.

Zaprzęgają konia i wiozą zwłoki na cmentarz. Złożyli w mogile i już zasypują, gdy ukazuje się pop, który biegnąc woła zdaleka:

— Poczekajcie, poczekajcie, trzeba jeszcze modlitwy odmówić i poświęcić!..

Na to staruszek Kazimierz Kancelarczyk podniósł w górę łopatę:

— Chadzi, chadzi, ja ciabie poswiaczu!

— Co ty stary, co ty stary!.. bić będziesz?

— Podojdzi tolka, a nikoho bolsz chawać nie budziesz!..

I pop odjechał.

W Rusinowiczach umarła kobieta wskutek strasznego wypadku: spaliła się w suszowni lnu. Zjechały władze, odbyły się

ogłędziny zmarłej i ostatecznie kazano ją pochować popowi. Tenże sam pop hołdowicki zjawił się na cmentarzu. Rozpoczęły się pertraktacje:

- Dajcie mi pochować umarłą.
- Sami ją pochowamy.
- Będziecie za to odpowiadali sądownie.
- Być może, ale proszę sobie odjeżdżać.

Gdy się tak certują, naraz zjawia się gromada kobiet uzbrojonych w kije i widły i otacza popa. Ten groźny zastęp tak go przestraszył, że jął tylko prosić, aby go wypuszczono. Siadł na wóz i odjechał co prędzej. Nie pokazał się odtąd w Rusinowiczach.

Maksimowiczowi, owemu łowczemu, do którego uciekł Stefan Kolesiński, umarło dziecko. On sam był zapisany jako prawosławny, należało więc wezwać popa do pogrzebu. Chcąc uniknąć odpowiedzialności, Maksymowicz ukrył trumienkę pod słomę na wozie i uprosił leśnika Grzegorza Czerewicza, aby zawiózł ją na cmentarz i tam pochował. Wiezie Czerewicz przez Niedźwiedzicę, popędza przejeżdżając koło gminy, nieprzyjacielskiej siedziby, aż spotyka Jana Kancelarczyka. Skinął nań, aby się przysiadł do niego. Wystarczyło, że wzywał towarzysz, aby usłu chać natychmiast. Jan spostrzegł trumienkę, dowiedział się, o co chodzi i przyrzekł pomódz. Dojechali do cmentarza, pochowali dziecko, pomodlili się i wrócili do domu. Po dwu dniach wzywa ich żandarm i poczyna badać, czy to oni pochowali dziecko Maksimowicza.

— Otóż będzie wam teraz! Ja was nauczę, co to chłować umarłych! Ja was na Sybir zeszlę!..

Badanie trwało długo. Zniecierpliwiony Czerewicz zawołał:

— Zdechnij i ty, to i ciebie pochowamy!

— Jak ty śmiesz!.. Czy słyszałeś, co on powiedział? pyta Kancelarczyka.

— Nic nie słyszałem.

— Bo i ty taki sam rozbojnik! My was nauczymy!.. „Won poszli!“

Za tajne pogrzeby wielu płaciło kary pieniężne i wielu sta wało przed sądem.

— Panie sędzio — tłumaczył się jeden z obwinionych — jakże nie pomódz sąsiadowi, gdy wzywa w takim wypadku? Trzeba na to nie być człowiekiem!

— Da niczewo nie znaczit, nie śmiejesz pomagat!.. brzmiała odpowiedź.

Nieustanne podejścia wyrabiały baczną przeczność. W r. 1881. przyjechał „gubernskij czlen“ i wezwał ludność do kancelaryi dla odebrania od niej przysięgi na wierność nowemu monarsze. Pisarzem gminnym po Żabiku był wówczas Mikołajewicz. godny jego następcą pod każdym względem. Wmawiano usilnie zebranim, aby ci, którzy zgadzają się złożyć przysięgę na miejscu przed popem, wzniesli w górę ręce. Niektórzy gotowali się to uczynić. Aż Jan Kiełbasa, włościanin z Rusinowicz, zakrzyknął gromko:

— Ręce w dół!.. i pierwszy uciekł przez okno, a za nim inni. Ponieważ księdza im nie dano, więc parafianie niedźwiedzicy aż dotąd nie składali przysięgi na wierność cesarzowi.

Tak upłynęło lat 20. Całe pokolenie zahartowało się w cichej uporczywej walce. Natężenie jej miało wzrosnąć, miał jeszcze paść cios największy...

Pociechą największą w ciągu tych ciężkich lat 20 był kościół i możliwość uczęszczania choć ukradkiem na msze św. i nabożeństwa. Prócz opornych, parafia liczyła parę tysięcy katolików urzędownie uznanych. Gdy po wywiezieniu ks. Łazarewicza przez lat dwa nie było księży przy kościele niedźwiedzickim, parafianie ci poczeli podawać prośby o naznaczenie proboszcza, zwracając się do władzy duchownej i świeckiej. Wskutek tych prośb kolejno naznaczani byli proboszczowie: Dąbrowski, Sydorowicz, Bohdziewicz, Czajkowski, wreszcie w r. 1884. przybył ks. Leon Bulwin który w historii Niedźwiedzicy odegrał smutną i niezapomnianą rolę.

Łatwo zrozumieć, jak ważnym w takich wyjątkowych warunkach był wybór kapłana dla nieszczęśliwej parafii. Ks. Bulwin, młody, bo około lat 35 liczący, popędliwy i nietaktowny, należał do liczby księży, oddanych rządowi, którzy byli prawdziwym nieszczęściem i zmorą w historii ówczesnej doby. Lista ich długa szczególnie w byłej diecezji mińskiej. Dość wspomnieć osławione nazwiska: Makarewicza, Seńczykowskiego, Jurgiewicza, Kułakowskiego, Wroczeńskiego, Świebody, Girtwojna, które niejako przeszły do historii.

Ks. Bulwin nieustannie miał zatargi z parafianami. To przyspieszyło smutny koniec. — Złożył bowiem raport gubernatorowi, że parafia mała, że niema z czego żyć, że wobec kościołów

w Klecku i Darewie, niedźwiedzicki jest niepotrzebny. Raport ten był pretekstem do pozyskania Najwyższego rozkazu o zabranii kościoła i oddaniu go prawosławnemu duchowieństwu na cerkiew<sup>1)</sup>.

Działo się to w sierpniu r. 1886.

Parafianie nie wiedzieli o niczem.

Pisarz Mikołajewicz i uriadnik Juskiewicz wręczyli staroście Józefowi Kancelarczykowi pakiet z napisem na kopercie: „Byłemu proboszczowi kościoła niedźwiedzickiego...“

— Idź, zanieś i przyjdź nam powtórzyć to, co ksiądz powie.

Te słowa pełne urągliwego tryumfu i napis na kopercie, wzbudziły odrazu pewność, że gotuje się nowy cios.

Uderzono na alarm, zaczęto się naradzać trwożnie... Wszyscy mieli w myśli fakt podstępnego zabrania kościoła w Lachowiczach. Wreszcie dnia 8-go września, na uroczystość Narodzenia Najświętszej Panny, uderzył grom.

Po niesporach ks. Bulwin, ulegając namowom swoich zaufanych wszedł na ambonę i oznajmił zebrany:

— Dzieteczki, po raz ostatni modliliśmy się w tym kościele. Odtąd zamknięty będzie.

W kościele zerwała się burza straszego łkania. Ksiądz zaintonował „Anioł Pański“, które przerywały płacz i szlochania, i opuścił kościół.

Lud nie rozchodził się jednak. Tłumnie stał na cmentarzu. Namysłano się.

O biernem poddaniu nie było mowy. Przeciwnie, rosło i z każdą chwilą potężniało postanowienie bronienia kościoła. Zagrzewali do tego obecni Lachowiczanie, którzy dotąd pocieszyć się nie mogli po stracie swego kościoła. Rosło też wzburzenie, odgrażano się i księdzu i wszystkim, którzy przyczynili się do obecnego stanu rzeczy. O mało nie doszło do scen krwawych.

W godzinę po niesporach, ksiądz przysłał swego pisarza, którym był żyd, Icko Zajac, dla zabrania z kościoła niektórych rzeczy i przeniesienia ich na plebanję. Żyd wdrapał się na ołtarz i zaczęła zdejmować świece.

Na widok tej profanacji, lud oburzony rzucił się na żyda.

<sup>1)</sup> Niedźwiedzica liczyła czterech prawosławnych.

Odebrano mu rzeczy kościelne i poturbowanego srodze wypędzono z kościoła. Wówczas organista Karol Handyr zamknął kościół i wyszedł na cmentarz. W tej chwili otoczyły go kobiety, rzuciły o ziemię i odebrały mu klucze. Odtąd przez lat 19 kościół miał być zamknięty, a klucze zaginęły w sposób tajemniczy, że nie mogli dojść, co z nimi zrobiono, gdzie przez kogo schowane, choć krążyły o tem różne legendy.

Stał się fakt wagi historycznej.

Tymczasem Handyr biegł do księdza z oznajmieniem o tem, co się stało. Ksiądz zerwał się na równe nogi i tak organistę, jak i starostę Józefa Kancelarczyka poczęstował kilku policzkami. Lud ze wsi okolicznych i z Lachowicz nie rozszedł się do domów. Czuwano przy kościele całą noc.

Nazajutrz raniutko ludność tłumnie przybyła na plebanie z wyrzutami do księdza za wczorajsze wysłanie żyda do kościoła. Ksiądz przestraszony tłómaczył się, że go wcale nie posyłał. Zając siedział w kancelaryi i pisał. Rzuciły się do niego kobiety lachowickie i zaczęły bić. Odzież podarto na nim do szcztetu i pewnoby żywym nie wyszedł z tych mściwych rąk, gdyby nie interwencya rozważniejszych i obrona uriadnika, który nadbiegł.

Cały ten dzień czuwano przy kościele w dalszym ciągu. Ludność niedźwiedzicka chętnie żywiła przybyszów z Lachowicz z innych sąsiednich wiosek. Trwali razem, jedną myślą ożywieni. O powrocie do domu nie myślał nikt. Klucze tymczasem pochwycone przez Ewę Rewiako, oddane były do schowania Janowi Hrybowi, który je ukrył pod podłogą w śpichrzu. Ksiądz był w wielkim kłopotcie. Zamierzał tego dnia zrana spożyć Hostyę, pozostawioną na ołtarzu i następnie oddać kościół komisji, która w tym celu zjechać miała. Niespodziane zamknięcie kościoła udaremniło te plany i Najświętszy Sakrament pozostać miał w ołtarzu nietknięty — aż do otwarcia kościoła w roku 1905.

Dnia owego oczekiwana komisya ze Słucka nie przybyła. Dnia 10. września rano ktoś dał znać, że w plebanii zjawił się pop. Tłum udał się na plebanie, otoczył ją i grożąc księdzu, żądał wydania popa. Bulwin przez okno pertraktował, tłómacząc, że popa niema.

Tłum dobijając się zaczął do drzwi.

— Dawaj tu popa, bo inaczej zginiesz!... — wołano. Nadbiegł uriadnik z policją wiejską, by bronić księdza. Tłum drzwi wywalił i wpadł do mieszkania.



Szukano popa w szafach, pod kanapami, na strychu. Ktoś krzyknął:

— Ksiądz go schował w „sklepie!“

Rzucono się do piwnicy. Lecz pop już dawno umknął tylnymi drzwiami przez ogród owocowy do gminy.

Tymczasem do Niedźwiedzicy wyjeżdżała komisya złożona ze sprawnika Łabuńcowa, z asesora, 6 uriadników, tyłuż żandarmów i dziekana Wróczeńskiego. Przy bramie stał stary Buzejko, dawny organista lachowicki, który wołać począł:

— Ludzie ratujcie! Kobiety, nie dajcie się tym krukom! Bierzcie koły!...

Dwóch uriadników dopadło do niego i poczęli go razem bić nahajkami, aż dopóki nie upadł. —

Tłum zwrócił się w stronę przybyłych. Sprawnik rozpoczął pertraktacje.

— Oddajcie kościół dobrowolnie!

— Nigdy i za nic. — Raczej umrzemy! — brzmiała niezłomna odpowiedź.

— Przecież rozkaz Najwyższy jest wyraźny. Jeśli go nie usłuchacie, to będziecie buntowszczykami i srogo was ukarzą.

— Nieprawda! My wszyscy cesarzowi jesteśmy, więc cesarz krzywdzić nas nie może. To „naczalstwo“ nas gubi!...

Ks. Wroczeński również jął namawiać, aby oddali kościół, albo przynajmniej Najświętszy Sakrament wynieść pozwolili. — Płacz ludu i jego nawet nieco wzruszył, bo gdy policya odeszła, powiedział:

— Pozwolicie: na mnie narzekać nie będziecie mogli; a nie pozwolicie: na siebie narzekać będziecie.

Cały dzień komisya bezradnie krążyła około ogrodzenia kościelnego, nie śmiejąc wejść. Tłum kilkutyśięczny zagradzał drogę. Stał przed kościołem milczący, ale gotowy na wszystko, niezłomny w swej woli; drzemiąca potęga, którą każdy niebaczny akt gwałtu mógł pobudzić do czynów nieobliczalnych. — Przybyłych lęk zdjął; spisali tylko protokół, nazwiska kilkudziesięciu prowodyrów — i odjechali z niczem.

Ks. Bulwin przez cały ten czas zachowywał się cicho; był bardzo przygnębiony, blady. — I on odjechał, żegnany przekleństwami.

W kilka dni potem Jan Kancelarczyk, Kazimierz Cho-

dor i Wincenty Hładki udali się do Mińska do gubernatora z prośbą, aby kościół wrócono i naznaczono nowego księdza.

— Ach! wy księdza chcecie? — A klucze gdzie?

— Nie wiemy! — brzmiała odpowiedź, niezmiennie odąd powtarzana przez lat 20.

— Wy nie wiecie? — Kłamiecie! Ja wam pokażę! Ja was posyłam, ja wam pułk kozaków przyszlę, oni z wami pohulają! Wy poznacie, co to klucze zabierać! Żeby mnie zaraz były! — rozumiecie! — Zaraz!

Tu przerwano mowę i zwrócono się do innych. Po pewnym czasie:

— A cóż, klucze są? Wy się namyśliłi?...

— Nie wiemy, gdzie klucze. — Tylu było ludzi przy zamknięciu kościoła — zabrali!

— A chcecie, żebym wam księdza naznaczył! Jakże on wejdzie bez kluczy? Klucze oddać! inaczej z wami rozprawię się tak, że popamiętacie. — Stupajcie!...

Tak się zakończyła pierwsza prośba o zwrot kościoła.

Niebawem przyszedł rozkaz o skasowaniu parafii niedźwiedzickiej i przyłączeniu jej częścią do Klecka, częścią do Darewa. — Do Klecka parafianie mieli od 35 do 70 wiorst; do Darewa od 25 do 60. — Pomimo jednak tej odległości, pomimo dróg złych i marnych koni, przez lat dwadzieścia widywano gromady Niedźwiedziczian, wytrwale dążące do tych dwóch pozostałych kościołów.

W historii Niedźwiedzicy zaczyna się okres nowy. O bezprzykładną stałość, z jaką ludność broniła swego kościoła, rozbiły się wszelkie zakusy, wszelkie usiłowania. Zjeżdżały władze, namawiały, groziły, aresztowały po kilka, kilkanaście osób — i zawsze odjeżdżały z niczem. Zjawiali się i księża, jak Jurgiewicz, Seńczykowski, Wroczeński; usiłowali trafić do przekonania — równie bezskutecznie.

— Dzieteczki, — perswadował dziekan Wroczeński — Hostya psuje się w zamknięciu, grzech za to na was spada; pozwólcie mi ją spożyć.

— Bądź ty o nasze dusze spokojny! — odpowiedziała mu jedna z kobiet.

Władze przywiozły kiedyś z sobą księdza dziekana Kosińskiego z Nieświeża... w nadziei, że jemu lud zwierzy tajemnicę ukrywanych kluczy.

— To przecie wasza zwierzchność duchowna, winniście księdzu posłuszeństwo — wmawiała policya.

— Kab jon byu dobry, toby z wami nie pryjechau — brzmiała odpowiedź!

Lud ten równie niezachwianie przyjmował groźby i argumenta, trwając niewzruszenie w swem postanowieniu.

I oto niedźwiedzicka niezłatwiona sprawa staje się odtąd cierniem, kością w gardle władz powiatowym i gubernialnym. Przy zmianach przekazują ją sobie wiecznie w tem samym studium.

Tymczasem ludność nie poprzestaje na biernym oporze. Rozpoczyna się okres starań, podawania próśb, to do władz gubernialnych, to do ministeryalnych, to do arcybiskupa, to na Najwyższe imię. — Wszędzie znali już Niedźwiedziczana i sprawa coraz nabierała rozgłosu. Oni tymczasem nie szczędzili kosztu ani starań. Jedna wieś Kurszynowicze wydała przez szereg tych ciężkich lat 1328 rs. Cała parafia poświęciła na te starania do 8000 rs. — Odznaczyli się najbardziej w tych zabiegach: Stanisław Tatarynowicz, Kazimierz Chodor, Jan Kiełbasa, Antoni Junik, Jan i Józef Kancelarczykowie. Prośby układał im zwykle adwokat p. Olszamowski w Petersburgu, dla którego wdzięczność parafian ogromna.

Pierwsza delegacya, wyprawiona do Petersburga z zebraniami 300 rs. na drogę, złożona była z Kolesińskiego, Tatarynowicza i Ludwika Sudnika. Przybycie do wielkiego nieznanego miasta tak oszołomiło biedaków, że nikogo nie widząc i nic nie robiwszy, po trzech tygodniach daremnego wałęsania się po ulicach, wrócili do domu. Nie zniechęciło to jednak Niedźwiedziczana, i co roku prawie wysyłali kogoś do Petersburga. Szukano też rady wszędzie; wypełniano, co kto poradził, często bezkrytycznie i z daremną stratą trudu i kosztu. I tak Petrenko, „stołonaczalnik“ z Mińska, chcąc wyzyskać położenie, podjął się niby przywrócić kościół za wynagrodzeniem 100 rs. — Złożono mu na razie 25 rs. i tyle go widziano.

Pełnomocnicy parafii ściągnęli na siebie w końcu represye rządowe.

Wyrokiem Plehwego, wydanym 1904 r., zostali skazani na więzienie w Słucku, a następnie na wysiedlenie 2-letnie z miejsca zamieszkania. Nowy minister spraw wewnętrznych, Światopełk-Mirskij, wyrok ten skasował.

Łatwo sobie wyobrazić, jak takie anormalne warunki życia wpływały na udręczoną ludność. W kronikach sądowych często występowali niedźwiedzicy parafianie... W paru wsiach szerzyć się zaczęła sztunda. — Nieufność i zaciętość, cechy prześladowanych, wciąż rosły. A zamknięty kościółek wciąż stał, zmieniając się zwolna w ruinę i kryjąc w ołtarzu niezabraną Hostyę.

Po 15 latach milczenia, pewnego wieczoru ozwały się dzwony. — Dzwoniły na wieczny odpoczynek stryjowi Jana Kiełbasy. — Zardzewiałe były, musieli je odczyszczać i smarować, lecz odezwały się, przejmując do głębi tym zapomnianym, niby z grobu płynącym głosem. Rzecz naturalna, zjawiła się zaraz policya, bito nahajkami, lecz nic to nie pomogło. Odtąd stara Serafina postać charakterystyczna, jedyny dzwonnik w swym rodzaju, pilnowała tego, by rodzinne dzwony żegnały wiernych obrońców, opuszczających na zawsze bohaterski posterunek.

W r. 1900 wielka pociecha spłynęła na biedaków. — Przyjechał z kolei w przebraniu dzielny ksiądz X... znany misjonarz wśród ludności prześladowanej, odważnie niosący im pociechę religijną. Przez dwa dni w Rusinowiczach chrzczył, spowiadał, dawał śluby, poczem podążył dalej — a za nim płynęły błogosławieństwa ludu i — policya.

W r. 1903, gubernator miński, hr. Musin-Puszkina, postanowił wreszcie zakończyć historyczną sprawę. — Zjechały władze z marszałkiem szlachty słuckiej, Łopuchinem, na czele — tym razem dla układów. Niedźwiedziczenie oddadzą kościółek swój na cerkiew w myśl ukazu z r. 1886, a za to dostaną pozwolenie na wybudowanie nowego, w innym miejscu. — Propozycja na razie mogła się wydać ponętną, stary drewniany kościół, przez tyle lat opuszczony — ledwo się trzymał. Ale ludność nie wierzyła już żadnym obietnicom — a wałęsa się świątynia posiadała cenę niezrównaną, cenę przelanych łez i krwi, ponieionych ofiar, stoczonych walk... Serca nierozzerwalnie przyrosły do tych ścian, do tego miejsca, gdzie leżą ich dziadowie i pradziadowie, kościół stał się relikwią — i teraz go oddać za obietnicę?

Raz jeszcze w Niedźwiedzicy tłum kilkudziesiętny objawił jednobrzmiącą wolę, raz jeszcze padło niezłomne:

— Nie damy!

I raz jeszcze ci silni, ci wszechmocni, musieli odjechać z niczem, pozostawiając po sobie represye. Dziewięciu parafian, wy-

danych przez uradnika Olszewskiego z Siniawki, który szpiegował w przebraniu żebraka, wysłano na trzy lata.

Przyszedł nareszcie rok 1905, a z nim ukaz o tolerancji. Z uciśnionych piersi zdjęto kamień grobowy, zabłysła zorza... W obliczu całego świata pozwolono Niedźwiedziczanom wyznawać swą wiarę.

Zdawałoby się, że tu finał całej historii. Stajemy jednak dopiero wobec najdramatyczniejszych jej epizodów.

Z ożywioną nadzieją słano nowe prośby do Petersburga. A czas był wielki na jakieś stanowcze postanowienie, bo waliły się ściany, dach przeciekał i kompletne zniszczenie groziło ołtarzowi i całemu wnętrzu. — Arcybiskup Szembek w czasie swego pobytu w Mińsku i Nieświeżu w czerwcu 1905 r. zapewnił deputację przybyłą z Niedźwiedzicy, że mówił sam z ks. Światopełk-Mirskim o zwróceniu sławnego już w Petersburgu kościoła i jest nadzieja rychłego i szczęśliwego zakończenia sprawy. Tymczasem Szembek zmarł, Światopełk-Mirskij ustąpił — a następca jego Bułygin osobiście odpowiedział przybyłemu do niego Chodorowi, że odpowiedź na prośby „w swoim czasie“ nadeszłą do Niedźwiedzicy. Odpowiedź zaś była bardzo niepomyślną, bo minister Bułygin zawiadomił, że nietylko prośby nie uwzględniono, ale nadal nie będą przedstawiane do Najwyższej decyzji.

Tymczasem nadchodziły jesienne słoty, grożąc zupełnem zniszczeniem świątyni. W ostatnich dniach sierpnia r. 1905 Niedźwiedziczenie wykonali ów czyn zuchwały, ów zamach stanu, który miał przejąć zgrozą wszystkie władze gubernii, poczynając od najwyższych, i poruszyć siły zbrojne w obronie „naruszonego porządku“. — Oto ni mniej ni więcej... pokryli dach kościoła słomą i podparli ściany. Pracowano trzy dni i trzy noce — a praca była bezprzykładną, bo brało w niej udział literalnie wszystko, co żyło, zaczynając od starców, a kończąc na dzieciach.

Pod koniec trzeciego dnia, zjawia się słucki sprawnik Striker i assesor Strokowski.

— Co wy robicie?...

— Kościół prawim! — odpowiedziano rażno.

Striker zawrócił z miejsca i wraz z naczelnikiem ziemskim, Komornym, udał się wprost do Mińska do gubernatora Kurłowa. Tam zdecydowano „dla uśmierzenia buntu“ wysłać do Niedźwiedzicy... wojska aż dwie roty.

Odkomenderowano ze Słonima dwie rotę żołnierzy pod komendą kapitana Krawczenki i trzech innych oficerów.

Nadchodzi chwila najwyższego napięcia: nad nieszczęśliwą wioską zawisa krwawe widmo Kroź. Jeden ruch nieobliczalny, jeden krok — a skutki straszliwe, mrozące krew w żyłach.

Oto jak o przybyciu wojska opowiada naoczny świadek, wspomniany już parokrotnie Jan Kiełbasa.

Znajdował się właśnie na stacyi w Lachowiczach, gdy ujrzał przybyłe pociągami i szykujące się do pochodu wojsko.

— Dokąd wy idziecie? — spytał żołnierza, zaciekawiony niezwykłym widokiem.

— Do Niedźwiedzicy.

— Po co?

— Bo tam bunt.

Jan Kiełbasa biegiem przez pola dopadł wsi, podczas gdy wojsko maszerowało drogą. Wieść z ust jego rozniosła się w jednej chwili. W Niedźwiedzicy podniósł się naraz wielki płacz, ten przejmujący płacz bezsilnych wobec ogólnego nieszczęścia...

Kto zbadał, jakimi drogami płyną zbawcze natchnienia w chwilach przełomowych? Gdy wojsko wkraczało do Niedźwiedzicy „uśmierzać bunt“, powitane zostało przez ludność chlebem i solą, oraz prośbą o wzięcie mieszkańców pod opiekę i obronę przed policją...

Było to więcej niż niespodzianką, było przede wszystkim z gruntu fałszywą pozycją. Około kościoła ludzi nie było. Broń tedy złożono w kozły i rozłokowano się po chatach. Żołnierze szemrali, oficerowie nie wiedzieli, jaką przybrać postawę. Zapewniono ich — i sami mogli się o tem przekonać, — że o „buncie“ nie śniło się nikomu. Ludność modliła się spokojnie przed zamkniętymi drzwiami kościoła.

Ale nowa niespodzianka wzburzyła ludność.

8-go września, 19 lat od ostatniej Mszy św. w Niedźwiedzicy — o godzinie 5 rano kościół otoczył wojskiem do koła sprawnik Striker i opieczętował drzwi, oznajmiając zebrany, że sam, albo z pomocą popa, wyniesie Najświętszy Sakrament i sprzęty kościelne.

— A co, dawniej myśmy się was bali; teraz wy nas się bać będziecie — urągano przytem pod osłoną bagnetów...

Wśród tłumu, który już się zebrał, pomimo wczesnej pory, zerwał się groźny pomruk, który rósł, jak grom... Ten nowy

gwałt był już zbyt jaskrawy po świeżo wydanym manifeście tolerancyjnym, zbyt naciągnięte struny pękały, przeważała się szala i niedoli i cierpliwości... Jednomyślnie postanowiono dać się zażrzebać pod gruzami kościoła, krwią go swoją oblać, zginać najokropniejszą śmiercią — ale nie oddać, ale nie oddać!...

I znów krwawa, ponura chmura zawisa nad Niedźwiedzicą... Lecz Opatrzność czuwała nad męczeńską wsią, bo oto raz jeszcze nieszczęście zażegnane zostało.

Wśród zrozpaczonych i na wszystko gotowych, wśród drżących z gniewu i bólu, zjawili się dwaj ukochani kapłani, ks. Harasimowicz z Klecka i ks. Wańkowicz z Darewa.

Lud uspokoił się odrazu.

Osobna wzmianka należy się obu wspomnianym księżom, którzy odtąd nierozdzielnie będą związani z niedźwiedzicką sprawą, a raczej z jej szczęśliwym epilogiem.

Obaj należą do tego nowego pokolenia duchownych, wychowanych przez petersburskie seminaryum w szkole dzielnego biskupa Simona, których przybycie do Mińszczyzny na miejsce smutnej pamięci księży renegatów, nową erę w dziejach religijnych kraju otworzyło.

Pozyskanie ufności i miłości dręczzonego ludu nie przyszło odrazu. W każdym nowym przybyśzu widzieli oni wroga, w każdym czynie — podstęp. Gdy ks. Harasimowicz, mianowany proboszczem kleckim po osławionym Jurgiewiczu, przybył do Niedźwiedzicy, którą miał zarządzać, przyjęto go ogromnie nieufnie. Nikt się nie zbliżył dla przywitania, spoglądano nań z podełba. A nuż ten nieznany ksiądz w nocy wyniesie Najświętszy Sakrament z kościoła? Postawiono więc straż i wyprawiono do Klecka ze 20 ludzi dla powzięcia wiadomości. Gdy następnie organista przyjechał z opłatkami i spisywał parafian, wielu odmówiło podania swych imion. Może to nowy podstęp w rodzaju sprawy Żabika?

W styczniu 1905. przyjechał ks. Harasimowicz poświęcać domy. Niektórzy zamknęli swoje i sami wyszli.

— Jeżeli i ten nas ma zdradzić, — mówili — to będziemy mieli tę pociechę, że w naszych domach nie był.

Ksiądz nie zrażał się tą postawą ludu. Całym sercem przygarniał ich do siebie, oddał się szczerze sprawie — i oto po rocznej pracy stopniała bolesna niewiara, gromadzona tyloletniem

doświadczeniem, a wówczas raz pozyskana ufność była bezgraniczną, również jak wpływ nad temi zaciętymi sercami.

Gubernator miński Kurłow, wydawszy rozporządzenie na wysłanie wojska do Niedźwiedzicy, był jednak niespokojny. Wezwał dziekana mińskiego ks. Michalkiewicza i prosił, aby on wpłynął, żeby nie było przelewu krwi w Niedźwiedzicy. W odpowiedzi ks. Michalkiewicz zaznaczył, że to mogą zrobić tylko miejscowi proboszczowie ks. Harasimowicz i Wańkowicz których należy wezwać. Wskutek depechy zjawili się obaj w Mińsku. Gubernator, chociaż był chory mocno i leżał w łóżku, jednak sam się chciał rozmówić z księżmi. Zarządzający kancelaryą gubernatorską, Zoryn, usiłował obwinać parafian i ubocznie księży, ale wobec jasnych dowodów, jakie złożyli, zdawało się, że gubernator uspokoił się, tem bardziej, że robót więcej nie prowadzą przy kościele i prowadzić nie będą. O wojsku już mowy nie było. Jednak przeczuciem wiedzeni obaj księża pośpieszyli do Niedźwiedzicy, gdzie znaleźli już wojsko i ludność przynębioną.

Zażegnawszy szczęśliwie grożącą burzę i zawstydzwszy Strikera w obecności oficerów ostrem wytknięciem jego postępków i nakazawszy ludności jak najspokojniejsze zachowanie się, księża udali się znowu do Kurłowa, do Mińska. Ks. Harasimowicz przyjęty został dopiero na trzeci dzień i wskutek stanowczego żądania widzenia się z gubernatorem, a przyjęty zaś był nader nieprzyjaźnie. Kurłow ani chciał słyszeć o cofnięciu wojska, ani nawet o oznaczeniu terminu w przybliżeniu. Toteż ks. Harasimowicz, złożywszy na piśmie sprawozdanie o zaszłych wypadkach, tendencyjnie przekręcanych przez policję — udał się do Petersburga. Tam przez trzy tygodnie prowadził niez mordowanie zabiegi, udając się do wielu dygnitarzy. Bułygin, Trepow, Witte, urzędnicy dworu i departamentów obcych wyznań i policji, mieli tę sprawę w swych rękach.

Nastrój chwili był sprzyjający. Na horyzoncie politycznym panowała wówczas tak zwana przez warszawską prasę „chwila osobliwa“. Prasa rosyjska poczęła szeroko komentować zajście w Niedźwiedzicy. *Ruś* zamieściła artykuł p. t. „Zupełnie zbyteczny dramat“; *Nowoje Wremia*: „Nierozumna gorliwość“ — *Nasza Żiźn*: „Niechaj idzie w świat“. Wszystkie pisma petersburskie przedrukowały te artykuły, opinia stolicy była poruszona; tak Kurłow, jak i Striker zawisli na włosku...

Kurłow wystosował odpowiedź, wydrukowaną w *Rusi*



i *Naszej Żizni*, w której kategorycznie zaprzeczał opisywanym faktom, grożąc, że zwróci się do prokuratury w celu pociągnięcia winnych oszczerstwa do odpowiedzialności.

*Ruś* wystosowała wtedy ostry artykuł, w którym wyrażając zadowolenie, że choć raz Kurlów chce obronić się przed sądem, zwraca uwagę, że ks. Harasimowicz w memoryale wystosowanym do Bułygina, a wydrukowanym w *Rusi*, pod słowem kapłańskim za prawdziwość opisanych faktów ręczy. Niechże więc sąd rozstrzygnie, czyje słowa są prawdziwe, Kurlowa, czy kapłana, któryby się nie zdobył na publiczne kłamstwo.

Rezultat zabiegów ks. Harasimowicza był ten, że ostatecznie 28-go października 1905 r. wydany został Najwyższy ukaz o otwarciu kościoła niedźwiedzickiego dla kultu katolickiego...

Wojsko, które stało miesiąc, wprzód jeszcze cofnięto z rozporządzenia Trepowa. Tak więc energiczne starania ks. Harasimowicza, połączone z nastrojem chwili i pomocą prasy, dokonały nareszcie tego, co już się zdawało nieurzeczywistnionem marzeniem.

I oto dla tego niezłomnego ludu, zahartowanego na stał w ogniu prób różnych — przyszły dzień słoneczne szczęścia i tryumfu — błogosławione dni nagrody...

11-go listopada przybył Striker dla zdjęcia samowolnie nałożonych pieczęci. Otoczył go tłum, w którego milczeniu było urąganie. Sprawnik już nie brawował, przeciwnie, był skromny; uspakajała go tylko obecność księży i obywateli.

— Macie prawo zdjąć pieczęcie — oznajmił, nadrabiając miną.

Nikt się nie poruszył.

-- Sam je przykładaleś, sam je zdejm. Nie miały jeszcze czasu dobrze zaschnąć!...

Striker zerwał pieczęcie.

— Dajcie klucze, otworzymy!...

Tłum poruszył się i odpowiedział zwrotką powtarzaną przez lat 19:

— Kluczy nie mamy!

W obecności policyi nie ufano!

Wówczas urzędnicy usunęli się zupełnie z oczu tłumowi i ks. Harasimowicz sam przystąpił do otwarcia kościoła kluczem dobranym, bo owe historyczne odnaleść się nie dały.

Otworzyły się wreszcie podwoje, strzeżone wiernymi sercami całego pokolenia...

Lud falą runął do wnętrza. Tracono zmysły ze szczęścia; całowano ławki, ściany, tulono się do filarów, biorąc je w ramiona. I znów zerwała się burza płaczu, ale płaczu błogostawionego...

20-go listopada, w niedzielę, naznaczono pierwsze nabożeństwo. Dzień ten, najpiękniejszy, jaki oglądała bohaterska wioska, błysnął dziwnie pogodny i promienny, pomimo późnej jesieni Kościół, dzwonnica, domy, ulice całe tonęły w zieleni świerkowych girland, jaśniały wesołą barwą biało-amarantowych chorągiewek. Kto mógł i czem mógł, przyczyniał się do upiększenia i uświetnienia uroczystości. Z Mińska przybył chór śpiewaków kościelnych w liczbie 21. — Zjechali się księża z okolicy bliższej i dalszej: ks. Graszys ze Słucka, ks. Perekszlis ze Starczyc, ks. Oskierko z Cimkowicz, ks. Znosko z Mińska — i oczywiście księża Wańkowicz i Harasimowicz. Od 5-ej z rana spowiadano w kościele: Msze św. wychodziły jedna po drugiej. Tłum przybyłych zdaleka zalewał świątynię i plac przed kościołem. Sumę odprawiał ks. Harasimowicz. Na kazalnicę wstąpił ks. Wańkowicz. Mówił porywająco, w natchnieniu:

„Oto wszyscy obecni znajdują się na miejscu cudu. Bóg okazał widomie łaskę swoją. Hostya św. w ołtarzu z takim poświęceniem broniona, została znaleziona tak świeża i nietknięta czasem, jak gdyby wczoraj konsekrowana a nie przed laty 19“.

Płacz głośnie tłumów zagłuszył dalsze słowa księdza. Najbardziej oporni i zahartowani płakali, jak dzieci. Posypały się datki na kościół. Świątynia okazała się tak zniszczoną, że służyć dalej nie mogła. Ks. Harasimowicz z niemałym trudem wystarał się o pozwolenie zbudowania nowego kościoła murowanego według planu Szyllera, na temże samem uświęconem miejscu. Ostatnie nabożeństwo w sławnym kościółku odbyło się 15-go sierpnia 1906.

Pomimo przywiązania i wdzięczności, jakie żywią Niedźwiedziczenie dla swego kapłana, raz jeszcze wróciła fala dawnej nieufności, gdy im zapowiedział, że trzeba przystąpić do rozbiórki kościoła. Żal ścisnął serce, nie wiedzieli co myśleć... bo trudność w zatwierdzeniu planów znowu napełniła trwogą. Uspokoił się dopiero, gdy im ksiądz pokazał plany nowej pięknej świątyni.

Obecnie nabożeństwo odbywa się w prowizorycznej szopie. Pomimo całej ofiarności, niedźwiedzicka parafia jest ubogą — a raczej zubożałą wskutek takich przejść. Toteż do całości potrze-

nej sumy na budowę nowego kościoła daleko<sup>1)</sup>. Trzeba mieć nadzieję, że szerszy ogół pospieszy z pomocą, bo trudno nie przyznać, iż wśród nadzwyczajności nawet, do których przywykliśmy, historia Niedźwiedzicy jest jednak wyjątkową. A zarazem napęła dziwną otuchą — i radosną dumą... I pozostanie w dziejach — promienna miłością i przelanymi łzami, ku chwale tych serc wiernych, ofiarnych i prostych, które ją utkały krwawym bólem swoim.

<sup>1)</sup> W obecnej chwili wznosi się już w Niedźwiedzicy piękny nowy kościół z wymownym napisem: „Gloria Deo!”

## I. Powiat słucki.

Ogólne tło. — Duchowieństwo. — Oporni. — Nieśwież. — Bobownia. — Zamość. — Lachowicze.

Powiat słucki gubernii mińskiej, liczący przestrzeni 6.850 w. kw., posiadał do r. 1864 następujące kościoły parafialne: w Nieświeżu, Słucku, Klecku, Kopylu, Cimkowiczach, Bobowni, Hrozowie, Zamościu, Starczycach, Lachowiczach, Niedźwiedzicy. Po 64-tym roku kościoły w Bobowni, Hrozowie, Lachowiczach i Zamościu zamieniono na cerkwie, a parafie skasowano. Zamknięto nieco później kościoły w Starczycach i Niedźwiedzicy. Kościoły nie będące parafialnymi w Nieświeżu i Klecku zabrano na cerkwie, zamknięto też wszystkie kaplice filialne, domowe i grobowe. Parafia Cimkowicka i Kopylska długie lata nie miały księży. Właściwie więc w powiecie istniały trzy kościoły otwarte: w Nieświeżu, Słucku i Klecku; z tych dwa ostatnie nie były uczęszczane przez wiernych z racji wprowadzonych tam rytuałów (język rosyjski w nabożeństwie dodatkowym).

Oprócz dworów i zaścianków, bez wyjątku katolickich, ludny i rozległy powiat posiadał liczne wsie katolickie, zwłaszcza w swej części zachodniej, wzdłuż granicy Nowogródzkiego.

Po skasowaniu dyecezyi Mińskiej,<sup>1)</sup> zarząd spraw duchownych wziął gubernator Tokarow w swe ręce. Wówczas to na widownię zjawiać się zaczęli odpowiedni nowemu kursowi księża, których dotąd wspomina się jak zmorę, jako jedną z cięższych plag, spadłych na kraj w ówczesnej dobie.

Z liczby ich, (wymieniam jedynie dekanat słucki) Świeboda, proboszcz kopylski i Gintwojn — lachowicki, przyjęli prawosławie i zostali popami.

<sup>1)</sup> W r. 1869, ostatnim biskupem był ks. Wojtkiewicz.

Kułakowski w Cimkowiczach wprowadził do kościoła nie tylko już język rosyjski, ale i obrzędy i ubiory kościelne rosyjskie; na pozdrowienia: niech będzie pochwalony! odpowiadał niezmiennie: „zdrawstwuj“; korespondencya jego z osławionym dziekanem pińskim Seńczykowskim znajduje się obecnie jako dokument w muzeum Rapperswylskim. — Bulwin w Niedźwiedzicy przyczynił się swym raportem do zamknięcia kościoła. — Jurgiewicz z Klecka dostał order za szerzenie prawosławia i języka rosyjskiego w nabożeństwie. Wroczeński dziekan słucki, był znanym delatorem i prawą ręką władz policyjnych.

Pierwszą czynnością owych księży „działaczy“<sup>1)</sup> było wprowadzenie do kościołów rytuałów, wbrew wyraźnej woli Papieża i pomimo protestu ludności, która odpowiedziała bojkotem tak księży jak kościołów. A w Nieświeżu zdołała nawet obronić kościół przed rytuałami, dzięki uporczywej i energicznej walce.

Pomiędzy duchowieństwem a ludnością wywiązały się wówczas stosunki jedyne w historii kraju. Kościoły stały pustką pomimo tak zmniejszonej ich liczby; proboszcz był jednym więcej nienawistnym urzędnikiem, do którego tylko potrzeba zmuszała się udawać, a który mścił się za odczuta pogardę, zdzierając za każdą posługę duchowną sumy niebywałe. Gorszące targi były na porządku dziennym. Kto mógł unikał i tego zetknięcia. Zamożniejsi dla chrztów, ślubów, spowiedzi, wyjeżdżali do miast. Dzieci w sferach ziemiańskich nie chrzczone bywały po lat parę i kilka; rosły nie znając co kościół. W najuroczystsze święta obywać się musiano bez nabożeństwa.

Zdarzały się przejmujące wypadki, jak przedśmiertna spowiedź młodej pani W. przed całą zebraną służbą w braku księdza, fakt, który miał miejsce w jednym z sąsiednich powiatów.

Wygmana z kościołów pieśń polska i modlitwa schroniły się pod dachy chat i dworów. W każdym rodzinnym domu był ołtarz domowy, przed którym zbierali się domownicy w niedzielne i świąteczne ranki, w majowe i wielkopostne wieczory. Modlono się wspólnie, śpiewano chóralnie; w Wielkim tygodniu ubierano Grób Pański — na Boże Ciało strojono ołtarze. Temu tylko zawdzięczać należy, że pokolenie całe nie zapomniało tradycyjnych pieśni, nie odwykło zupełnie od obrzędów religijnych

---

<sup>1)</sup> Księża rytualiści pobierali subsydyum rządowe w kwocie od 300 do 600 rb.

i modłów wspólnych. Czasem zdarzało się wielkie święto: przyjeżdżał z daleka ksiądz znajomy lub krewny. Wówczas przy zamkniętych drzwiach i zasłoniętych oknach, w odległym pokoju dworu odprawiała się Msza w głębokiej tajemnicy, jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Lecz zdarzało się to bardzo rzadko i połączone było z niemałym niebezpieczeństwem.

Takie były warunki życia religijnego w czasie rozpoczęcia i trwania prześladowań.

Przejdźmy do warunków materyalnych. Lud katolicki, otoczony ludem prawosławnym i współżyjący z nim trybem życia jednakim, ujrzał się naraz wobec niego paryasem, ze wszystkich praw wydziedziczonym. Rolnik-właściciel nie mógł rozszerzać swej posiadłości pomimo żywiołowej niejako potrzeby; rolnik dzierżawca widział się skrzywdzonym wobec takiegoż dzierżawcy prawosławnego (prawo o prawosławnych arendatorach). Wstęp do posad rządowych miał zamknięty, do szkół utrudniony. Prześladowany i szpiegowany nawet wśród czterech ścian swego domostwa, był zupełnie na łasce niższej miejscowej policji i wiejskich parochów. Narażony na tysiącne konflikta przy zawieraniu małżeństw, na olbrzymie trudności przy uczeniu i wychowaniu dzieci<sup>1)</sup>, pozbawiony oparcia w duchowieństwie swoim, lud ten, wszystkie niedole dźwigający na swych barkach, staje bohatercko do walki wprost bezprzykładnej w dziejach świata. Przeciwno sobie ma wszystkich, nawet swych sąsiadów, nawet własnych księży — za sobą literalnie nikogo. Dwory, jedyny naturalny sojusznik, steroryzowane, nic dać nie mogą prócz plato-nicznego współczucia.

Takiem jest tło, na którym rozgrywa się walka — dzieje nawpół dziś zapomiane a przecie pisane krwią i łzami.

System przymusowego nawracania, który rozpoczął się w 1864 r. był bardzo rozmaity i bogaty w inwencyę, zależał bowiem w zupełności od temperamentu i fantazyi każdego z miejscowych satrapów. W najlepszym razie wzywano do gminy, obiecywano zapomnienie jakiego sądowego wykroczenia, posadę ko-rzystną w gminie i „dopłatkę“ 25 rs. W razie oporu, koza przy gminie albo w powiatowym mieście, kara pieniężna od 15—50 rs., nahajki, plagi, bicie w twarz. Czasem przymus fizyczny, jak wkła-

1) Elementarze i książki polskie bywały konfiskowane przy rewizji w chatach.

danie do ust „priczastia“ gwałtem<sup>1)</sup>), spędzanie kozakami do cerkwi, czasem podstępne zapisywanie całych wsi i parafii (Niedzwiedzicka i Bobowieńska). W ciągu opowiadania dalszego te i inne sposoby wystąpią na widownię.

Ludność prześladowaną można tu podzielić na trzy kategorie: tych, którzy ulegli (cała wieś Kiele koło Kopyła), tych, którzy urzędownie zostali katolikami — i „opornych“, tj. uznanych za prawosławnych, a wyznających skrycie dawną wiarę, tak jak unicy na Podlasiu.

Do tej ostatniej kategorii należały: cała parafia niedzwiedzicka, część lachowickiej i bobowieńskiej, oraz niektóra wieś koło Nieświeża (Użanka, Rudawka, Nowosiółki, Saska Lipka). Parę słów o warunkach życia opornych.

Trudności, jakie zwalczać musieli dla przyjęcia którego z sakramentów, stanowić mogą osobne dzieje. Dopóki istniał w Nieświeżu klasztor i kościół Benedyktynów, kapelan ich udzielał chrztów i ślubów po uroczystem zaprzysiężeniu tajemnicy. Ponieważ nie prowadził ksiąg, dokumentów nie wydawał; udzielał tylko Sakramentu. Wkrótce jednak kościół wraz z klasztorem zamknięto. (W 1883 r).

W ostatnich czasach już, Jurgiewicz w Klecku, pewny swych zasług i stanowiska, uczynił sobie źródło dochodu, przyjmując opornych do Sakramentów i zapisując ich do ksiąg. Istniało też całe grono ludzi dobrej woli, którzy dopomagali opornym w dostawaniu potrzebnych dokumentów z wielkim poświęceniem i nakładem kosztów. W ten sposób zdobyto około 2000 prawnych metryk; niektórzy jednak musieli potem emigrować z kraju.

Większość wszakże młodego pokolenia (np. w Niedzwiedzicy i Lachowiczach, nie posiadała wcale metryk chrztu. To też brano ich do wojska wszystkich, nie wyłączając jedynaków. W wojsku chrzono ich gwałtem; opierających się żołnierze pod ręce wprowadzali do cerkwi.

Zaślubione pary, nie posiadające formalnych metryk ślubnych, policya rozpędzała... Za grzebanie tajne bez zawiadomienia popa, kazano płacić kary duże. Szlachcic z zaścianka Bułatniki koło Cimkowicz, zmuszony do przyjęcia prawosławia, na łożu śmierci błagał ją o księdza. Przywieziono Kułakowskiego, ówczesnego proboszcza, podając przed nim szlachcica za krewnego te-

1) W Podlesiu koło Lachowicz.

goż nazwiska. który pozostał katolikiem. Kułakowski na miejscu odkrył podstęp i doniósł popowi z Cimkowicz. Ten przyjechał natychmiast, a że znalazł tylko już trupa, zabrał go i pochował na cmentarzu prawosławnym, pomimo próśb rodziny.

Prawdziwą opatrnością opornych w ostatnim lat dziesiątku był dzielny ks. X. Oddał się ich sprawie z godną podziwu odwagą, zapomnieniem o sobie i iście misyonarskim zapałem. Przyjeżdżał z kolei w przebraniu, z przyprawną brodą i wąsami i w lesie lub w ustronnym folwarczku przez parę dni i nocy spowiadał, chrzciał, dawał śluby, pisał metryki.

Przyjazd ks. X. do głębi wstrząsnął ludnością. Po mil kilka jechano na miejsce upatrzone; w lesie pod Stwołowiczami zebrało się furmanek do 4000. Kobiety w nocy uciekały z chaty, w tajemnicy przed mężem prawosławnym, przynosząc dzieci do chrztu.

Naturalnie policya tropiła wszędzie księdza; lecz ludność go osłaniała.

W 1899 r. w marcu, w lesie koło Horodzieja, gdzie ks. X. przez dwa dni i dwie noce przyjmował ludność z okolicy Nieświeża, tłumnie cisnącą się do niego, najechał uriadnik z innymi przedstawicielami władzy. Otoczono ich i zamknięto w domu dzierżawcy sąsiedniego folwarku; pobito by ich, gdyby nie wstawiennictwo księdza, który tymczasem najspokojniej kończył swą pracę. Potem w przebraniu na chłopskim wózku pojechał dalej w głąb kraju, podczas gdy uwolniona z pod zamknięcia policya śpieszyła go tropić na wszystkich kolejowych liniach. Ks. X. musiał ostatecznie wyjechać z kraju; konsystorz odmówił potwierdzenia jego metryk; lecz przejście jego wśród upadającej już na duchu, udręczonej ludności, pozostawiło ślady niezatarte, było największą pociechą i podniesieniem ducha, jakie im dano znać w ciągu 40-letniej martyrologii.

Przejdźmy do dziejów poszczególnych parafii.

### Nieśwież.

Nieśwież, słynna Radziwiłłowska siedziba, posiadał w 1863 roku oprócz parafialnej fary z grobami Radziwiłłów — kościoły i klasztory: Bernardynów, Dominikanów, Benedyktynów, Benedyktynek, które wszystkie zamknięto... Dobra klasztorne przeszły



na rzecz skarbu. Gmachy obrócono na koszary, a Dominikańskie mury na seminaryum nauczycielskie. Kościoły Dominikanów, Bernardynów i Benedyktynek zabrano na cerkwie; kościół Benedyktynów (św. Krzyża), malowniczo w pięknym sosnowym borze położony, pozostawiony pustką, rozpada się w ruinę<sup>1)</sup>.

Cerkiew w Nieświeżu istniała tylko jedna po-unicka i polowa kaplica w koszarach; parafia prawosławna liczyła 6 osób oprócz żołnierzy. Kościoły zamykano nagle, w ciągu 4—6 godzin sprawa była skończoną. Tem się tłumaczy bierność ludności, zaskoczony zniemacka.

Kościół Bernardynów pierwszy zamieniono na cerkiew. Ostatnia Msza odprawiona były na intencję Syrokomli.

Płyty kamienne z napisami polskimi wyrzucano lub przewracano na drugą stronę. Liczne figury przy ołtarzu i piękną figurę naturalnej wielkości nad amboną zbito i zniszczono. Inicytywę do takich wandalizmów dawał rejent Brawoj, który obdzierał także z ozdób cmentarze.

Trumny z grobów klasztornych wrzucano do jednego dołu i zalewano wapnem. Takimuz losowi uległ grób księżniczki Radziwiłłówny, ksieni Benedyktynek.

Benedyktynki posiadały na własność wieś Dumnicze i folwark Teladowicze, z których dochody szły na utrzymanie przy klasztorze szkoły haftu i szycia dla biednych dziewcząt i na wydawanie im następnie posagów. Dobra te skonfiskowano około 1840 roku.

Klasztor najdłużej przetrwał z Nieświezkich klasztorów. Do zamknięcia jego przyczynił się Jurgiewicz, ówczesny dziekan słucki i inspektor<sup>2)</sup>. Zażądał od przełożonej wprowadzenia rytuałów; za opór zamknięto kościół i klasztor.

Pozostała więc jedynie fara. Około tej ostatniej świątyni zavrzała walka zacięta pomiędzy rządem i duchowieństwem z jednej strony, a ludnością z drugiej. Szło o wprowadzenie rytuałów tutaj, jak do wszystkich innych okolicznych kościołów, tak, jak je wprowadzono już w Słucku, w Kopylu, w Cimkowiczach, w Klecku. — Pierwszy z kazaniem rosyjskiem wystąpił Kułakowski. Lud gremialnie opuścił świątynię. Bojkotem i szykanami

<sup>1)</sup> Obecnie rozebrano resztkę cegieł na mur.

<sup>2)</sup> Gubernia Mińska podzieloną była na okręgi wizytacyjne, pozostające pod władzą Jurgiewicza i Seńczykowskiego.

zmuszono Kułakowskiego do opuszczenia Nieświeża. Przyjechała wówczas komisya, złożona z Żylińskiego, prałata wileńskiego, Seńczykowskiego, dziekana pińskiego, Jurgiewicza, Łapickiego, w otoczeniu żandarmów i urzędników, w celu wprowadzenia języka urzędowego do kościoła. Żyliński zwrócił się do parafian po rosyjsku: Najwyższą wolą jest, aby język rosyjski zastąpił polski w kościele. Nie należy się temu opierać, gdyż słusznem jest, aby w Rosyi modlono się po rosyjsku, skoro w Niemczech modlą się po niemiecku, we Francyi po francusku -- itd.

Deputacya parafian powołała się na cyrkularz Potapowa, który głosi, że Cesarz Aleksander II nadał prawo odprawiania dodatkowego nabożeństwa w języku parafian. Wysłano też zaraz protest do Tokarowa, który dopiero w lat parę wrócony został z adnotacyą, że nadal wszelkie podobne próby karane będą.

Żyliński odjechał nic nie wskórawszy. Kościół zamknięto na czas jakiś, a proboszcza, ks. Wakulewicz, wywieziono. Lud żegnał go demonstracyjnie. Odprowadzono go wiorst kilka procesjonalnie ze świecami, ze śpiewami i rzewnym płaczem. Na jego miejsce przysłano ks. Szymkiewicza.

Ten usiłował także wprowadzić rytuały, lecz musiał ustąpić wobec silnego oporu parafian. W akcji przeciw niemu na czele stanęła dzierżawczyni Hanusowszczyzny, p. Rymaszewska; zagroziła mu natychmiastowem odebraniem ulokowanych u niego kapitałów, jeśli się poważy na wprowadzenie rytuałów i tem go steroryzowała.

Również bezskuteczne były usiłowania Wroczeńskiego, następcy Szymkiewicza. I on ustąpić musiał, a wówczas przyjechał Jurgiewicz.

Temu nie pozwolono nawet stanąć w plebanii; rzeczy musiał zostawić na ulicy. Kiedy w kościele krzyknął po rosyjsku: „Czewo sobralisia, skoty?“ wyciągnięto go na cmentarz i obito. Przez dwa dni musiał się ukrywać, nie wypuszczając z ręki rewolweru, wreszcie w nocy umknął. Kościół znów zamknięto.

Otworzył go ks. Podlipski, z którego przybyciem zawitał wreszcie spokój.

Zobowiązał się rytuałów nie wprowadzać i święcie tego dotrzymał. Nie było wprawdzie ani kazań ani śpiewów polskich w kościele, lecz była to niemniej jedyna świątynia uczęszczana, nietylko już w powiecie słuckim, ale w szerszym okolicznym okręgu. W bronieniu kościoła przed rytuałami odznaczyli się

zwłaszcza: Marya Doboszyńska, Franciszek Bohdanowicz, Adam Maciejewski, Józef Kruhlik, Hordziejewski i inni.

Przed laty mniej więcej dziesięciu Nieśwież usłyszał znów słowo Boże po polsku, głoszone z ambony przez ks. Spasowskiego. Ks. Dalecki pierwszy jął budzić długim bolesnym letargiem uśpione uczucia. Wywieziono go jednak rychło do Agłony za otwarcie filialnego kościoła w Połośni.

Po manifeście kwietniowym z 1905 roku Nieświeskiej parafii przybyło do 2000 wiernych. W czerwcu 1905 r. gościł przez dziesięć dni arcybiskup Szembek w Nieświeżu. Była to ostatnia jego wizytacja pasterska. Tysiące ludu śpieszyło do pasterza, całe pokolenie nie bierzmowane, zastępy tych, którym jawnie pozwolono wyznawać umiłowaną wiarę. Jedna z męczeńskich opornych wiosek wzniosła na drodze przejazdu arcybiskupa bramę z napisem: „Pod Twoją obronę uciekamy się...”

Nawracanie po wsiach Nieświeskiej parafii odbywało się z całą bezwzględnością. Ludność całą Mikołajewszczyzny, nie wyłączając starców i kobiet, obito nahajkami i zapisano gwałtem... W walce za wiarę odznaczył się szczególnie bohaterski włościanin z Nowosiótek, Marcin Urban. Lud dziś uważa go za świętego. Męczony był przez trzy lata. Przetrwiał kilkakrotnie plagi, obostrzone więzienie, wreszcie ciężkie roboty, doszedł do zupełnego wyczerpania sił, a powtarzał niezmiennie: „Możecie mnie żywcem palić w ogniu, możecie topić w wodzie — a nie zaprę się swej wiary nigdy”. Oczy całej okolicy zwrócone były na Urbana, był wyrocznią i moralnym przewodnikiem swych współbraci. Jego wpływowi zawdzięczać należy wytrwanie nie tylko wsi jego rodzinnej Nowosiółki, która odznacza się do dziś gorliwością i przywiązaniem do wiary gorącym, ale i wsi sąsiednich, jak Rudawka, Użanka, Saska Lipka, Mikołajewszczyzny część. Niedola tych opornych wiosek skończyła się dopiero z tolerancyjnym manifestem.

Fara Nieświeżska należy do najpiękniejszych kościołów Mińszczyzny. Ufundowaną była przez ks. Radziwiłła Sierotkę w roku 1589, konsekrowaną w 1601 r. pod wzwaniem Bożego Ciała i oddana w zarząd Jezuitom. Zbudowaną jest w kształcie krzyża z kopułą pośrodku, będącą miniaturą przypomnieniem kopuły św. Piotra w Rzymie.

W 1752 roku, na zlecenie Michała Kazimierza Radziwiłła, wojewody wileńskiego, strop świątyni pokrył freskami Heski.

Przed kilku laty odnowił je artystycznie malarz Bruzdowicz z Krakowa. W podziemiach fary mieszczą się grobowce Radziwiłłów linii Nieświeskiej.

Księciu Sierotce i jego małżonce Eufemii z Wiśniowieckich zawdzięczać też należy fundacye kościołów i klasztorów Bernardynów i Benedyktynek. Klasztor Benedyktynek był pierwszym żeńskim zakonem na Litwie. W kościele ks. Sierotka wznosił dwa marmurowe grobowce dla dwóch swych córek zakonnice.

Dominikanów ufundował w roku 1672 Bazyli Bakanowski, podstoli smoleński. W prezbiterium znajdowały się portrety fundatora i ks. Michała Kazimierza Radziwiłła, a w ołtarzu obraz Matki Boskiej, cudami słynący.

Ks. Michał Kazimierz zbudował kościół św. Krzyża w roku 1673, w lesie koło Nieświeża, a przy nim opactwo Benedyktynów, opatrzone zapisem 36.000 złp. On też fundował kościół św. Michała za miastem, a przy nim konwent Jezuitów, dziś w gruzach będący.

Do parafii należą kaplice filialne w Połośni, w Nieświeżu na Słuckich Wrotach (tak jak kaplica Ostrobramska) i kościołek św. Izydora na Przedmieściu. W tym ostatnim długi czas stały zwłoki ks. Panie Kochanku zanim je złożono do podziemi w fary. Ordynat Antoni Radziwiłł otrzymał pozwolenie przed laty kilku na odrestaurowanie zamkniętego i zrujnowanego kościołka. Po ukończeniu robót pewnej nocy wyrwano krzyż z wieżyczki. Okazało się, że tego aktu nienawiści i samowoli dopuścił się miejscowy horodniczy, Ponamarow Świdorski. Obecnie ks. Jerzowa Radziwiłłowa projektuje przerobienie kościołka i ozdobienie go wewnątrz freskami. Parafia liczyła do 7000 wiernych, obecnie powiększyła się jeszcze znacznie. Znajduje się pod zarządem proboszcza i wikarego. Jest to najliczniejsza parafia w dekanacie, do 12.000 dusz licząca.

### **Bobownia.**

W czasie pobytu arcybiskupa Szembeka w Nieświeżu, włóścianie ze wsi Wynia złożyli mu prośbę następującą:

„Do r. 1865 w powiecie słuckim istniała parafia katolicka Bobowieńska. Czas jej założenia nie sięga pamięci naszej i ro-

dziców naszych<sup>1)</sup>. Do parafii należały wsie: Bobownia, Wynia, Dumnicze, Pieczorany, Rymosze, Nowosiółki, Łoćwiny; zaścianki Kołosowszczyzna, Myśli, Zabołocie, Rudniki, Zosin; miasteczko Bobownia i dwory; Bobownia, Dorohowica, Rymosze, Adamowicze, Diampol, Kuncowszczyzna i kilka mniejszych folwarków — ogółem przestrzeni więcej niż jedna gmina, z ludnością prawie wyłącznie katolicką, około 2.000 dusz.

Po 1863 r., który w życiu parafii nie zaznaczył się niczem i żadnego ruchu politycznego nie wywołał, przysłała ciężka pora:

Urzędnicy rosyjscy, w celu zaskarżenia sobie łask zwierzchności i zapewnienia zysków, zapominając o Bogu, targnęli się na kościół nasz i świętą wiarę ojców naszych. Mirowy pośrednik Władimirow z kapitanem żandarmów Leonowem i starszym gminnym Bernowiczem, w licznej asyście kozaków i policyi, zjechali do wsi Wyni, której ludność katolicka, licząca dusz 400, znaną była ze swej gorliwości religijnej. Gdy rozkaz tych panów przyjęcia religii urzędowej, wysłuchanym nie został, rozpoczęła się egzekucya, która trwała dni kilka.

Większość ludzi uległa chłości okrutnej; wiarę nową zaszczepiano różgami i nahajkami, przyczem włościanie Michał Citko starzec i Franciszek Łukaszewicz zmarli pod razami a wielu bardzo zniosło okrutne męczeństwo.

Takiż sposób wpajania zasad nowej wiary zastosowany był w Bobowni, w Dumniczach i w Łoćwinach. Poczem nie czekając już na wyrażenie zgody, wszyscy mieszkańcy parafii zostali zapisani na wiarę prawosławną, plebania Bobowieńska przeniesioną została do Teladowicz dla parocha, a kościół oddany pod zarząd tegoż, od lat 40-tu stoi pustką.

I oto lat 40 trwała ciężka pokuta nasza. Ci, których zapisano jako prawosławnych, zmuszeni byli należeć do tego kościoła wbrew sumieniu i przez lat 40 uciemnienie górowało nad nami a gorycz była w sercach naszych. Ale jak płomień przywalony tleje u spodu, tak się żarzyła w sercach naszych gorliwość do wiary ojców; bo i ci, co zrodzeni z rodziców do cerkwi zapisanych, nie przestawali czcić Boga w duchu religii naszej katolickiej. A gdy ukaz z dnia 17 kwietnia zapowiedział nam wolność wyznania i sumienia, ożył duch nasz i strzeliła ku niebu dziękczynna modlitwa za wyswobodzenie z długiego ucisku.

---

<sup>1)</sup> Założona w wieku XVIII-tym.

Pospiesznie i tłumnie wracamy na łono kościoła katolickiego a jednocześnie oglądamy się za domem Bożym, w którym się zgromadzali ojcowie nasi i który jest nasz z prawa i imienia.

Bo gwałt, jaki nam był uczyniony, nie może być początkiem i zasadą żadnego prawa i po manifeście z dnia 17 kwietnia, razem z powrotem naszym do dawnej wiary, słusznie się nam należy powrót kościoła. Są jeszcze tacy, co nie z własnej woli stawszy się prawosławnymi, ociągają się dotąd z nawróceniem. Poza tem jednak koło dawnego kościółka zgromadziłoby się dawnych parafian do 1000; a w miarę utrwalania się tego kościoła, garnęłoby się do niego coraz więcej z pomiędzy tych, co wahają się lub jeszcze wątpią.

Oto dlaczego, składając Waszej Miłości Arcypasterskiej wspomnienie męczeństwa ojców naszych i nasze własne utrapienia przez tyle ciężkich lat i zapewnienia religijnej gorliwości naszej, błagamy usilnie Waszą Ekscelencyę o przywrócenie nam parafii Bobowieńskiej wraz z kościołem naszym“.

Prośbie tej dotąd nie stało się zadość. Wsie wspomniane przyłączono do parafii Kopylskiej.

Ostatnim proboszczem Bobowni był ks. Adam Tyszkiewicz. Klucze od kościoła i od grobowej kaplicy rodziny Narkiewicz-Jodków w majątku Bobownia oddano popowi z Teladowicz, Pośpiełowowi. Aparaty kościelne przewieziono do Kopyła i Nieświeża, ołtarze i organy zostały na miejscu. Wszystkie zabudowania plebanii przeniesiono do Teladowicz; zabrano 500 rubli z sum kościelnych i 7 pudów wosku z ofiar na świece.

W miasteczku Bobownia w czasie przymusowego nawracania ucierpieli najbardziej i najsilniejszy stawiali opór: Józef Fankiewicz, Klemens Mickiewicz, Jazgulewicz, Mikulicz.

Miasteczko nie liczyło ani jednego prawosławnego.

W czasie krwawej egzekucyi w Wyni, oprócz zasieczonych na śmierć Citki i Łukaszewicza, bito, uwięziono i ukarano piętnięzmi grzywnami następujących: Gonczarów Michała, Piotra, dwóch Stefanów, dwóch Janów; Juchów Dominika, Damiana, dwóch Józefów, dwóch Tomaszów, Jana, Stefana, Wincentego; Citków Michała i Stefana; Kazimierza Hruszewicza, Wincentego Piszkę, Franciszka Szostaka, Wincentego Karpowicza.

Uwięzienie gospodarzy wypadło w czasie żniw; to też zboże wyspało się na polu.

W Dumniczach proceder nawracania prowadziły te same osoby co w Wyni, z dodatkiem Łabuncowa, pomocnika sprawnika. Zaczęto od gospodarza Lubeckiego; Liczono na to, że gdy on się nawróci, to wieś cała pójdzie za jego przykładem. Lecz stawiał silny opór, za który umarł pod razami. Następnym skutkiem tej śmierci bito już oględniej. Doszkiewiczowi zagrożono postawieniem na rozpalonej blasze za opór. Ostatecznie opierających się wysiedlono z zaścianka, przysyłając na ich miejsce rodziny prawosławne. Pozostawiono tych, którzy jako należący do stanu włościańskiego, mieli już wykup zrobiony na swe imię. W ten sposób pozostało kilkanaście chat katolickich. I tych jednak pop z Teladowicz uważał za swe owieczki o tyle przynajmniej, że i od nich wymagał daniny. Proboszczowie Kopylscy, o ile wogóle byli w parafii, nie poważali się walczyć z Pośpiełowem. Przez długie lata on był opiekunem całej exparafii Bobowieńskiej, co prawda mniej dbały o utrwalenie nowej wiary, niż o ciągnięcie zysków z parafian. Ten bowiem ex-komisarz policyjny odznaczał się niebywałą chciwością.

Wielce charakterystycznym jest proces, jaki wytoczył trzem włościanom katolikom z Dumnicz: Ziniewiczowi, Tarasiewiczowi i Rymaszewskiemu za to, że ci nie pozwolili mu zabrać na swój użytek pięknej sosny, będącej ozdobą cmentarza katolickiego w Dumniczach. Oskarżył ich mianowicie o to, że bronili rzeczy sobie obcej przed prawym właścicielem (!). Sprawę przedstawiono jako zuchwały opór katolików przeciwko prawowitej władzy duchownej. Proces ten o sosnę ciągnął się lat cztery, przeszedł różne instancje, bo i oskarżeni nie żalowali kosztu i fadygi. Udowodnili papierami z konsystorza, że cmentarz był i pozostał katolickim, że przeto pop nie miał żadnego do niego prawa, a tem mniej do rosnących na nim drzew; pomimo to zjazd ziemskich naczelników w roku 1904 skazał ich ostatecznie na karę aresztu.

Na osobną wzmiankę zasługuje wieś Szostaki, należąca do parafii Kopylskiej, ze względu na niezwykle koleje, jakie przechodziła. Duża wioska, malowniczo położona wśród ogromnych lasów, posiadała ludność wyłącznie katolicką. I tu, jak wszędzie, w roku 1864 zjechała komisya, złożona ze starszyny gminnego, z mirowego pośrednika i z popa. Na środku wsi postawili stół i brali po kolei gospodarzy, gwałtem ich prowadząc dla podpisania, że przyjmują prawosławie. Wtykali im pióro, starszyna brał za rękę i podpisywał za nich. W ten sposób podpisano

trzech: Antoniego Sapieszkę, Jana i Wincentego Czerkasów. Wzięli potem Wincentego Sapieszkę z mieszkania, do którego się schronił. Podczas gdy go prowadzono ulicą, ten protestował cały czas, modlił się głośno, wzywając pomocy Bożej, w końcu krzychał. Nadbiegły kobiety, otoczyły go i wyrwały z rąk władzy. Ten fakt oporu wstrząsnął całą wsią i nie dopuszczono już nikogo do podpisu.

Chodziło jednak specjalnie o Wincentego Sapieszkę; to też turbowany był jeszcze niejednokrotnie. Do wsi przysłano 15 kozaków na egzekucję. Przybyli też żandarmi dla aresztowania Sapieszki. Bili go w twarz, pluli nań. Wykupił się dość znaczną sumą i wtedy pozostawiono go w spokoju.

Ostatecznie wieś pozostała przy swej wierze — ale dwór przyjął prawosławie. Fakt uderzający, niemal nie do wiary i trzeba pospieszyć dodać — niemal jedyny w kronikach tych czasów. Właścicielem Szostaków był człowiek samotny, zdziwaczały, członek jednej z bardziej szanowanych i zasłużonych rodzin w okolicy. Był zamożny i niezależny; nie chodziło mu o karierę. Trudno zrozumieć pobudki, jakie nim kierowały. Był to dziwnym zamętem pojęć po przetrwaniu strasznej zawieruchy krajowej, czy osobistem urojeniem dziwaka? Faktem jest tylko, że z uporem maniaka, a gorliwością renegata, prześladował odtąd dawnych współwyznawców. Język ojczysty i wiara stanęły na indeksie w Szostakowskim dworze. I podczas gdy wokoło ucichły już prześladowania, nieszczęśliwa wioska cierpiała je wciąż od swego pana aż do jego śmierci, przez lat przeszło 30. Katolików nie przyjmowaa na służbę, nie wydzierżawiano im łąk do koszenia; jako warunek konieczny stawiano im — przyjęcie prawosławia. „Chciał, żebyśmy dusze sprzedawali za chleb, za siano!“ — opowiadają z oburzeniem mieszkańcy Szostaków.

Wieś pozostała podwójnie zwycięską...

### Zamość.

Zamość, niedaleko Hrozowa i Słucka, ku północnej stronie powiatu, posiadał kościół parafialny ze zwłokami błogosławionego Winka, które lud wielką czcią otaczał. Do grobu świętego odbywano liczne pielgrzymki, ofiary płynęły hojnie z różnych stron. To też proboszcz, ks. Gawroński, należący zresztą do księży



smutnej pamięci, dochody przy kościele miał znaczne. Zawistnie na to patrzył paroch Zabielski. Dzięki jego zabiegom w r. 1867 zjechał do Zamościa sprawnik z żandarmami i kościół zamknął. W jakiś czas potem zabrano go na cerkiew, a parafię przyłączono do Słucka. Zabielski zamieszkał w plebanii i objął zarząd nad kościołem. Ks. Gawroński wyjechał do Słucka, gdzie wkrótce umarł.

Chodzą wieści, że przy zamknięciu kościoła parafianie wykradli zwłoki błogosławionego Winka i przenieśli je do Wyniszcz. Jest to wieś, posiadająca kaplicę filialną, zamkniętą czas długi, a do której obecnie dojeżdża proboszcz ze Słucka raz na miesiąc. W jakiś czas po zamknięciu kościoła w Zamościu przysłano kozaków dla odszukania zwłok świętego. Odbyła się przytem masowa egzekucya, która trwała trzy dni. Tak mężczyźni jak kobiety więziono w dużej szopie i bito nahajkami. Zwłok nie odnaleziono.

W dawnym zamojskim kościele po dziś dzień jest dużo obrazów katolickich. W ołtarzu obraz Szymona Czechowicza, przedstawiający Chrystusa ukrzyżowanego.

Zamość należał niegdyś do zakonu Jezuitów. Kościół ufundował tenże błogosławiony Winko (Andrzej Samuel Ratomski), którego zwłoki spoczęły w podziemiach. Z początku była to filia parafii Słuckiej, a w roku 1822 ustanowiono tu parafię osobną z filialnymi kaplicami w Wyniszczach i Pokraszewie. Wiernych parafia liczyła przeszło tysiąc.

### Lachowicze.

Lachowicze, miasteczko w południowo-zachodniej części powiatu, dziś stacya kolei Poleskiej, leży w okolicy zaludnionej niegdyś (podobno za króla Olbrachta) osadnikami z Mazowsza. Wskazują na to nazwy same: Lachowicze, Mazurki. Ludność tu w szerokim kręgu naokół wyłącznie była katolicką. Z Lachowicką parafią graniczy sławna odtąd w dziejach nowszych czasów parafia Niedźwiedzicka. Do Lachowicz, jako parafii, należały wsie: Łotwa Wielka i Mała, Perechreście, Potapowicze, Zubielewicze, Szczosnowicze, Kaczpany, Gośławszczyzna i inne. Z dworów należała też Hroszowka, miejsce urodzenia Tadeusza Reytana, który

pochowany został w Lachowickim kościele. Po zamienieniu go na cerkiew, rodzina zabrała zwłoki i wzniosła osobny grobowiec.

Kościół fundowany został przez Karola Chodkiewicza, po spaleniu odbudowany przez Massalskiego,

Miasteczko dziś należy do hr. Kossakowskich jako część ordynacji Lachowickiej.

W r. 1864, w czasie, gdy cała ludność Lachowicz wyległa w pola wraz z przybyłą komisją wywłaszczającą, proboszcz Gintwojn odprawił mszę w obecności dziekana z Nieświeża, ks. Szymkiewicza i popa Haworskiego z Podlesia, poczem oznajmił zebranym w kościele kilku kobietom, że wskutek Najwyższego rozkazu, kościół od tej chwili przechodzi pod zarząd Haworskiego jako cerkiew. Jakoż natychmiast poczęto wynosić aparaty kościelne, których część odesłano do Nieświeża, a część do Niedźwiedzicy.

Na lament, podniesiony przez niewiasty, nadbiegła z pola ludność, ale nie śmiała stawić oporu wobec komisji. Kościół zabrano.

Zaczął się nawracanie mieszkańców, naprzód namowami, obietnicami i datkami pieniężnymj 25-ciu rublowemi.

Pierwsi dali przykład uległości Gintwojn, który w następstwie został parochem przy tymże samym kościele i Czerniawski, pisarz kościelny, mianowany w nagrodę starszyną gminnym. Obaj renegaci, zwykłym rzeczy porządkiem, stali się najzawziętymi prześladowcami mieszkańców miasteczka.

Ludność jednak stawiała silny opór.

Sprowadzono kozaków, którzy w liczbie kilkunastu stale przez lat sześć przebywali w gminie, i rozpoczęły się represye. Bito nahajkami: Stefan Burwiej dostał 30 plag. Całą niemal ludność męską Lachowicz zasadzono do aresztu na dwie doby, potem więziono w Nieświeżu od 2 tygodni do 3 miesięcy. Najwięcej ucierpeli Łukaszewicz i Godlewski. Tego ostatniego głodzono dni kilka, a w ciemnym lochu, gdzie go trzymano, szczury na nim ubranie zjadły.

Niektórym, szczególnie prześladowanym w ciągu sześciolletniej represyi, kozacy nie pozwalali w pole wychodzić, tak, że zboże sypało się na pniu, a role odłogiem leżały. Kazano im przez cały tydzień stać z koniem w gminie do rozporządzenia kozaków, chociaż kolejka, obowiązująca każdego z mieszkańców, wynosiła dzień jeden.

Kozacy odgrywali rolę szpiegów, podsłuchiwali pod oknami, a za każde zbieranie się w celu narady, karano kozą. Niektórzy przyjmowali prawosławie po spełnieniu jakiegoś wykroczenia, jako środek uchylający karę sądową. Naogół w Lachowiczach z 300 rodzin katolickich 40 przyjęło prawosławie. Resztę zaliczono do opornych.

W wioskach parafii ulegano przeważnie na razie, lecz po pewnym czasie znów pokryjomu wracano do wiary ojczyściej, pędząc męczeński żywot opornych.

Po manifeście tolerancyjnym, zakrzątnięto się koło budowy nowego kościoła w Lachowiczach, wznoszonego ze składek parafian.

## Z powiatu mińskiego.

W powiecie mińskim, liczącym 147.000 mieszkańców na przestrzeni 4.579 wiostr kw., po roku 1865 zabrano na cerkwie lub zamknięto kościoły następujące:

W Mińsku. Kościół i klasztor Bernardynów (dziś koszary i archiwum guberni), kościół i klasztor Bernardynek (dziś cerkiew i monaster), kościół i klasztor Benedyktynek (zamienione także na cerkiew i monaster).

W powiecie: Kościoły parafialne: w Cholawszczyźnie, Iwieńcu, Wołmie, Dubrowach, Zasławiu, Gródku, Rubieżewiczach, Stołpcach, Świerznii, Mikołajewszczyźnie.

Kościół filialne: w Anopolu, Chotowie, Naborowszczyźnie, Zaniewszczyźnie, Starzynkach, Nowosiołkach, Iwieńcu (kościół klasztorny poddominikański).

Kaplice: w Łoszycy, Siemkowie, Ignatyczach, Sule, Stołpcach.

Ogółem na istniejących w powiecie parafii 16, skasowano 10. Słów parę o okolicznościach, towarzyszących zamknięciu niektórych z tych kościołów.

### Wołma.

Parafia wołmiańska, jedna z najstarszych w kraju, bo założona w wieku XV-tym, liczyła przed powstaniem 63 roku 12.000 parafian, przeważnie ludności wiejskiej.

W 1866 r., gdy się zaczynały kasaty kościołów, parafii, i nawracania przymusowe, do Wołmy zjawiają się: sprawnik Bohdanowicz, asesor (stanowy) — Iłachow z Rakowa, pop i dwie sotnie kozaków. Zwykła „komisya misjonarska“, siłą zbrojną poparta.

Zwykłym też rzeczą porządkiem, ludności każą się zebrać w kancelaryi gminy. Starszyzna gminy dyktuje nazwiska, które zapisują kolejno. Ten, o którym zapomina przy dyktowaniu, uważać się może za ocalonego.

Po załatwieniu formalności — zaczynają się namowy. Obiecują Wołmianom, że gdy przyjmą z dobrej woli wiarę urzędową, to podatków płacić nie będą.

Czy można się oprzeć takiej obietnicy?

Wołmiańscy parafianie odmawiają jednak stanowczo. Komisya daje im czas do namysłu i każe się zebrać ponownie na zajutrz.

Gdy znów stanęli przed komisją, usłyszeli, że sprawa skończona.

— Zapisaliśmy was, jesteście już prawosławni!...

Odpowiedział jednogłośnie protest tłumu:

— My nie chcemy! my nie chcemy! Nie chcieliśmy wczoraj i dziś nie chcemy!...

— Wczoraj nie chcieliście z dobrej woli, otóż dziś zechcecie, gdy was zmuszą!...

Wezwano kozaków i rozpoczęła się egzekucya. Oporniejszych bito nahajkami. Nadto, zbitych nahajkami sadzano w lodowni na lodzie rozebranych do naga i trzymano tak po godzin sześć.

Po krwawej egzekucyi, przystąpiono do obrządku religijnego, mającego ostatecznie utwierdzić w nowej wierze. Włościaninowi Kudryckiemu wybito przy tej sposobności dwa zęby.

Ostatecznie komisya dokonała dzieła. Kościół zabrano na cerkiew, parafię skasowano, a wiernych zaliczono urzędownie do wyznania prawosławnego. Dla „utrzymania w spokoju“ kozaków pozostawiono w Wołmie i sąsiednich wioskach (w Skarabatowszczyźnie i innych). Pozwolono im „pohulać“, więc też hulali, rznąc dobytek mieszkańców, siekąc nahajkami wedle swego uznania. Należy tu wymienić nazwisko Grzegorza Kula, jako jednego z oporniejszych i z bardziej umęczonych.

Ani gwałty, ani egzekucye nie zdołały jednak nic zdziałać. Faktycznie ani jeden z parafian wołmiańskich nie zmienił wyznania. Przez lat 40 wiedli męczeński żywot opornych, w ciągłej walce, w ciągłych wybiegach, w nieustannej trosce o zaspokojenie duchownych potrzeb i obowiązków.

Najczęściej musieli sami sobie radzić, pozbawieni będąc wszelkiej religijnej pociechy. I tak: dzieci chrzcili sami z wody.

Śluby dawał najstarszy, najszanowniejszy we wsi. Obrządek ten prostotą swą i surową powagą przypominał dawne słowiańskie zwyczaje, gdzieś we krwi rolniczego ludu drzemiące. Starszy stał za stołem, na którym stał krzyż i leżała bułka chleba, prastary uświęcony symbol. Młoda para, trzymając w ręku zapalone świece, wymawiała uroczyste słowa dozgonnej przysięgi. Następnie wyciągali ręce nad chlebem, a starzy uderzali im w dłonie. Dawano krzyż do pocałowania i ceremonia ślubu „za przigoworom“, była ukończona.

Najniezszczęśliwsi byli ci, których brano do wojska, a brano niemal wszystkich młodszych, jako nie posiadających metryk. W wojsku raz jeszcze przechodzić musieli nawracanie przymusowe.

Zawitał wreszcie rok 1905, a z nim oswobodzenie, możność życia, nowa era. Po ukazie kwietniowym w parafii wołmiańskiej stał się fakt historycznej wagi, fakt jaskrawo ilustrujący, jak się przyjęła wiara nahajkami wszczepiona. Oto w całej parafii tylko pop i jego rodzina pozostali przy wyznaniu prawosławniem...

Kościół nie zwrócono jednak. Parafianie urządzili tymczasową kaplicę, do której raz na miesiąc dojeżdża ksiądz z Rakowa.

### Zasław.

Starożytne to miasteczko, dziś o jedną stację kolei od Mińska oddalone, stanowiło w wieku XVII własność możnego rodu Hlebowiczów z sąsiedniej Dubrowy. Przez małżeństwo przeszło następnie do domu Sapiechów.

W r. 1755 nabył je Antoni Przeździecki.

W latach sześćdziesiątych było ono własnością rodziny Prózyńskich.

Zasław posiadał dwa starożytne kościoły. Jeden z nich był przez czas jakiś przerobiony na kościół ewangelicki przez Bogusława ks. Radziwiłła. Później wrócono go znowu katolickiemu kultowi.

Tu komisya nawracająca zjawiała się w roku 1867-tym, później niż w Wołmie. Składali ją: sprawnik, stanowy i kilku popów. Kozaków nie było. Działano tu nie siłą, ale przebiegłością.

Ludność wezwano do kancelaryi gminnej. Tu urządzona była umiejętna inscenizacya, zdolna zaiste obalamucić pierwotne umysły. Czekająca na nich ucztą wspinała. Był wół z rogami zło-

conemi, była kufa wódki. Przy kufie stali przedstawiciele władzy, usposobieni łaskawie. W rękę trzymali czarki i przypijali niemi, mówiąc:

— Cesarz was pozdrawia!...

Włościanie, nie rozumiejąc o co chodzi, brali oczywiście podawane czarki. W tej chwili jeden z duchownych prawosławnych zawieszał im krzyż na szyi i pozdrawiał jako prawosławnych.

I w ten sposób zapisano wszystkich.

Kościół zabrano na cerkwie. Parafię rozdzielono na trzy części i przyłączono do Złotogórki, do Katedry Mińskiej i do Rakowa.

### Dubrowa.

Parafia również starożytna, jak Wołmiańska, ale mniej liczna, bo 5.000 wiernych licząca.

Tu stajemy wobec nowego wariantu w bogatej inwencji historii nawracania przymuszonego. Stajemy nie już wobec przemocy ani podstępny, ale wobec największej ze zbrodni ludzkich, zbrodni Judaszowej. Otwiera się przed nami karta dziejów popowstaniowych, na której ku wiecznej hańbie zapisane, widnieją nazwiska księży-renegatów, winnych zdrady potrójnej: wobec swego Boga, wobec swego kraju i wobec powierzzonego sobie ludu. Historia Dubrowy należy do najjaskrawszych, najbardziej przejmujących epizodów tej karty.

W Dubrowach w latach sześćdziesiątych proboszczem był ks. Wincenty Koszko, eks-bernardyn, magister teologii, wiekowy już starzec. Gdy w koło szerzyły się krwawe egzekucje i musowe nawracania, parafianie Dubrowscy, lada dzień oczekując swej kolei, udali się starym zwyczajem do proboszcza po radę. Ten ich uspokoił.

Gdy was będą zmuszali, odpowiadajcie jedno: My tak zrobimy jak nasz proboszcz, on dla nas przykładem.

Zjawiła się oczekiwana ze strachem komisya. Wezwano włościan, którzy na namowy odpowiedzieli tak właśnie, jak ich ksiądz nauczył.

— Więc wy tak postąpiacie, jak wasz proboszcz?...

— Tak! tak! Jak nasz proboszcz! Tylko tak, jak on!...

Na to z drugiego pokoju wyszedł Koszko.

— Ja, dzieci, prawosławny już jestem. I wy zróbcie to samo!...  
Po strasznej chwili osłupienia, zerwał się protest jedno-  
głośny, z głębi serc płynący.

— My nie chcemy! My nie przyjmujemy!... Za nic!...

— Już przepało! Już raz powiedzieliście, że tak zrobicie,  
jak ksiądz. Jesteście już prawosławni!...

Protestujący krzykiem i bezsilnymi łzami tłum rozpędzono  
nahajkami... Wszystkich zapisano jako prawosławnych. Kościół  
zabrano na cerkiew, parafię skasowano, Koszkę zrobiono popem.

Parafianie dubrowscy w r. 1905. gremialnie wrócili do wy-  
znania katolickiego, podobnie jak wołmiańscy. Posiadają dziś  
kaplicę, do której raz na miesiąc dojeżdża ksiądz z Rakowa.

### Rubieżewicze.

Kościół zabrano na cerkiew w r. 1864<sup>1)</sup>. Ponieważ ta stała  
pustkami, przystąpiono przeto do przygarnięcia katolików na  
łono cerkwi prawosławnej. Pewnego dnia targowego cała ludność  
zebrana na placu miasteczka, ujrzała się otoczoną kordonem  
policji i kozaków, pod komendą sprawnika. Bijąc nahajkami,  
wpędzono wszystkich do cerkwi. Wtedy to nastąpił akt „dobro-  
wolnego“ przejścia na prawosławie. Tylko jednej dziewczynie  
udało się „podstępem i intrygą“ wykreść; uskarżając się natar-  
czywie na cierpienia żołądka, wymknęła się ofiara z rąk... Odtąd  
zaczął się dla Rubieżewicz straszliwy okres prześladowań. Ener-  
giczniejszych i oporniejszych więziono lub wysyłano. Najbardziej  
wycierpiał mieszczanin Tur, który siedmnaście lat przemęczył  
się w tundrach sybirskich.

Ciekawa ta i typowa postać zaciętego bojownika za wiarę  
w opowiadaniach ludu opromieniona jest prorocstwem.

Przed dziesięciu laty ten sam Tur przy pomocy sąsiadów  
zwiózł olbrzymi kamień na górę przy wjeździe do miasta, pro-  
rokując, że w tym miejscu ma stanąć nowa świątynia na miejscu  
zabranej. Wówczas trudno było temu uwierzyć. W kilka lat  
jednak później, po manifeście, odrazu 5.000 rzekomo prawosła-  
wnych powróciło do katolicyzmu i utworzyła się duża parafia  
bez kościoła i proboszcza. Zakrzątnięto się zaraz koło budowy  
nowej świątyni i oto dzięki niezmordowanym zabiegom ks. Sko-

<sup>1)</sup> I tu proboszcz Antoni Swieboda przyjął prawosławie i został popem.



kowskiego, byłego proboszcza z Kojdanowa, dzięki ofiarności okolicznego obywatelstwa i ludu, gorąco stęsknionego do swego Kościoła — wznosi się dziś w Rubieżewiczach wspaniała gotycka świątynia z ciosanego kamienia, o dziesięć kroków od proroczego kamienia Tura. Wzruszającą jest ofiarność, z jaką każdy grosz swój na ukochany cel niesie. W czasie zbierania ofiar na budowę kościoła, stolarz rubieżewicki, staruszek, wyjął sto rubli, oszczędzone przez całe biedne i głodne życie i kładąc je na tacę, powiedział: „Oto łzy moje, krew moja i kozackie nahaje!...”

### Słobodka.

W gminie tej, należącej do parafii Kamień, już na pograniczu wileńskiej gubernii, najbardziej ucierpiały katolickie wsie: Choców, Łubień i Rusaki, tak zwane od jeńców wojennych ruskich, którymi niegdyś wieś zaludniono. Tu dzieło nawracania prowadził okrutny i zażarty „stanowy”, Płochów, który później przeniesiony w Borysowskie, zabity został przez starowierców za także gwałtowne usiłowania nawracania ich.

Pomagali mu dwaj niżsi urzędnicy, Bołonin i Berhold. Ten ostatni, ex-luteranin, próbował drogi perswazyi. Jeden z chłopów mu odpowiedział: „Łatwo ci było „lucyperiańskiej“ wiary się wyrzec, ale nie nam naszej katolickiej“.

Spędzono chłopów do gminy w Słobódce i przez dwa dni trzymano zamkniętych w stodole, nie dając nic jeść ani pić. Trzeciego dnia, ślaniającym się z głodu, dano wypić wódki na czczo, co rzecz oczywista wszystkim upoiło. Wówczas na pijano pop dał im wszystkim komunię. Na uczynioną sobie uwagę o nieważności takiego aktu — odpowiedział: „Niczewo nie znacził“. — Płochów znęcał się strasznie nad delikwentami. Chłopa Jarmońkiewicza przewrócił na ziemię i bił obcasami po twarzy. Nikodemowi kazał dać 200 kijów. Suszkowa, ze wsi Chotów, trzymała na ręku małego synka, gdy kozak pchnął ją w piersi piką. Krew obryzgała dziecko. Gdy mały Kazimierz dorósł, z dumą mówił o sobie: „Mnie nie ksiądz chrzczył — ale krew mojej matki i dlatego jestem katolikiem“.

Szymon Skurat zdołał się wyrwać, gdy go prowadzono do stodoły, uciekł do lasu, wpadł w jamę, zaszył się pod suche liście i tak przeleżał dopóki się wszystko nie uspokoiło. Tak

uniknął prześladowań i nawracania. — Najbardziej ucierpiał Antoni Bohdankiewicz. Zabrano go do Mińska, gdzie więziono przez kilka miesięcy, a potem wywieziono do Wołody. Z Piotra Kustreja, który był znanym złodziejem i postrachem okolicy, prześladowania i wycierpiane męki uczyniły natchnionego, pełnego poświęcenia bojownika za wiarę.

Po egzekucyi w Słobódce — do wiosek przysłano kozaków z prawem: „pohulania“. Zaczęły się zwykłe gwałty, znęcania, ruina gospodarstw chłopskich. Ażeby utrzymać kozaków w ciągłym nastroju srogości i okrucieństwa i nie dać im zżyć się z ludnością, co dwa tygodnie przysyłano nowych. Dzieci nowonarodzone chrzczono gwałtem.

Pierwszy przyjął prawosławie z namowy Berholda starosta Klucznik. Stał się nawet prześladowcą swych współbraci. A jednak sumienie całe życie nie dawało mu spokoju. Gdy ogłoszono manifest, leżał już na łożu śmiertelnym. Natychmiast poprosił o księdza, uroczyście powrócił do katolicyzmu i całej swej rodzinie, dzieciom i wnukom kazał uczynić to samo.

### Iwieniec.

Miasteczko liczyło 4000 mieszkańców. Zabrano kościół parafialny, a potem drugi poddominikański za to, że śpiewał w nim lud pieśń z kantyczek o św. Dominiku, która wydała się nielobalną miejscowym władzom. Mieszczan Iwienieckich nie próbowano nawet nawracać, bo znani byli ze swej wytrwałości i nieugiętości. Jednego z pomiędzy siebie, który ożenił się z prawosławną — otruli. Znaną jest szeroko historia o krzyż, która miała miejsce przed paru laty, więc jej tu nie powtarzamy. W Iwieniu rozwinięty jest szeroko przemysł mularski, zwłaszcza wyrób i stawianie pieców — i mieszkańcy miasteczka dużo jeżdżąc po świecie i stykając się z ludźmi — są kulturalniejsi od swych sąsiadów.

Cała ludność miasteczka, bez wyjątku, była i pozostała katolicką, tak, że do dwóch cerkwi, przerobionych z kościołów, uczęszczał tylko uradnik.

### Raków.

Tam, gdzie kościół pozostawał, starano się go zrusyfikować przez wprowadzenie dodatkowego nabożeństwa w języku rosyjskim (rytuały). Pomocnikami w tej robocie, powolnym narzędziem zamiarów rządu — bywali księża renegaci, otrzymujący za to osobne subsydia. Lud odpowiadał bojkotem kościołów, do których wprowadzono rytuały — a do tej liczby należała większość pozostałych w Mińszczyźnie kościołów. (Słuck, Kleck, Kopyl, Cimkowicze, Uzda, Kojdanow, Połoneczka, Bobrujsk, Ihumeń, Łohojsk i wiele innych w gubernii). Do Kojdanowa wprowadził rytuały ks. Józef Piotrowski. Przed śmiercią męczył się strasznie, a gdy trupa jego postawiono w kościele, szczury przez noc pogryzły mu twarz, co lud uważa jako znak widomy kary Bożej.

W niektórych wypadkach, gdy lud był bardziej uświadomiony, nie dopuszczał wprost do wprowadzenia rytuałów. W ten sposób obroniono dwa kościoły w dwóch miasteczkach, w Nieświeżu i w Rakowie. Do Rakowa na proboszcza naznaczono w roku 1867 ks. Wincentego Kuszelewskiego, renegata i rusyfikatora, który miał po sobie smutną pamięć pozostawić jako długoletni proboszcz Uzdy. (Usunięty dopiero w 1905 roku przez arcybiskupa Szembeka). Gdy przybył do Rakowa, lud z kobietami na czele nie pozwolił mu wejść do kościoła. Zjawiła się z pomocą policya. Przybył sprawnik i trzech policyantów, aby wprowadzić Kuszelewskiego do kościoła „pod osłoną władzy“. Ale lud stawiał opór czynny. Księdza obrzucono zgniłemi jajami, jednemu z policyantów złamano pałasz. Tłum strzegł kościoła dniem i nocą, śpiewając różaniec i pieśni pobożne. Trwało to trzy tygodnie.

Rzecz godna uwagi, że i Żydzi i prawosławni, zamieszkujący miasteczko, wspierali katolików w tej obronie świątyni.

I lud zwyciężył.

W roku 1877 naznaczono na probostwo rakowskie ks. Eustachego Karpowicza, który dotychczas pozostaje na tem stanowisku, otoczony miłością i szacunkiem parafian. Za jego staraniem, a dzięki ofiarności parafian, stanął w Rakowie w r. 1906 piękny, murowany kościół w stylu gotyckim, mogący być ozdobą, niejednego większego miasta.

## Z powiatu pińskiego.

W powiecie pińskim, w gubernii mińskiej, liczącym na przetrzeni 10.404 w. kw. 123.000 przeszło mieszkańców, po 1864-tym roku zamknięto kościoły parafialne w Łohiszynie i Karolinie, oraz klasztor z kościołem parafialnym w Horodyszczu <sup>1)</sup>. Filialne kościołki w Ochowie, Chworostowie, Pohościu, Soźnie, Bohdanówce; kaplice w Miastkowiczach, Krystynowie (z grobami Butrymowiczów), Biżerewiczach, Turnowiczach, Gaju, Piasecznie, Berdunach, Kraszewiczach, Podhajcach, Duboju. W Płoskiniach, majątności E. Skirmuntta, stała tuż przy domu drewniana kapliczka. W r. 1864-tym władze kazały chłopom zabrać ją i przenieść na prawosławny cmentarz we wsi.

W Bokiniczach, majątności M. Skirmuntta, znajdowała się murowana kaplica z grobami członków rodziny. Zbudowaną była za pozwoleniem ministeryum spraw wewnętrznych, które plan zatwierdziło. Pomimo to zabraną została przez rząd w r. 1864-tym.

Kasowano w Pińszczyźnie moc krzyżów przydrożnych, albo pamiątkowych. Szczególnie na miejscach widoczniejszych, albo bardziej uczęszczanych — nie wolno im było stać. W Kowniatynie przed samym domem mieszkalnym stał krzyż. Kazano go sprzatnać, bo widoczny był z gościńca.

Miasteczko Pohost Lachorodzki do r. 1795 posiadało kościół unicki drewniany.

W tymże czasie ludność z miasteczka i okolicy gwałtem pod nahajkami nawrócono na prawosławie, a kościół zabrano na cerkiew. Popem przy niej zrobiono Mazewicza, eksekonoma X. X. Druckich, Lubeckich, który pozostał na tem stanowisku, aż do r. 1832 i zarządzał parafią, chociaż był skończonym pijakiem.

Po zabranii Pohoskiego kościoła sytuacja była taką, że do najbliższej katolickiej świątyni w Horodyszczu, liczono mil trzy, na wiosnę i w jesieni nie do przebycia z powodu rozlewu wód.

Wówczas to X. Eleonora z Żabów Drucka Lubecka, żona Onufrego, zbudowała swoim kosztem nowy kościółek na rynku

<sup>1)</sup> Wspaniały Benedyktyński kościół w stylu Odrodzenia z pięknymi freskami oddano generałowi de La Gardie wraz z klasztorem i klasztorneimi dobrami. De La Gardie zwałił dzwonnice i dwie wieże, a dach pokryty grubą blachą miedzianą sprzedał żydom. Obecnie toczą się układy o odkupienie zniszczonej świątyni przez dawnych parafian.

w Pohościu i osadziła przy nim stałego kapłana. Było to w pierwszych latach wieku XIX-go.

W r. 1864 kościółek zamknięto, a w maju 1865 oddano duchowieństwu prawosławnemu, pomimo, że był własnością i fundacją prywatną. W rozkazie głównego naczelnika kraju, generał-lejtenanta von Kaufmana, do naczelnika gubernii mińskiej o zabranii kaplicy Pohoskiej, jako umotywowanie czytamy: że była zbudowaną „w celach przyciągania prawosławnych mieszkańców kraju ku katolicyzmowi“.

Przejdźmy do historii Łohiszyna, miasteczka odległego od Pińska o mil trzy, leżącego przy trakcie mińskim. Liczy ono do 2.000 mieszkańców, przeważnie mieszczan katolików.

### Łohiszyn.

Oto znowu karta łzami krwawemi zapisana, godna stanąć obok Niedźwiedzicy i Wołmy, bohaterskie dzieje rozpacznego, cichego oporu i tej twardej cierpliwości w męczeństwie, która w zdumienie wprawiała prześladowców. Opowiemy ją prostemi słowami jednego z uczestników i naocznych świadków, 60-letniego mieszczanina z Łohiszyna, Antoniego Tatarewicza.

Kościół w miasteczku Łohiszynie wzniesiony był w wieku XVII i posiadał obraz Matki Boskiej, czczony jako cudowny. Zbudowany z modrzewia jak słucka fara, za fundatora miał księcia Albrechta Radziwiłła.

#### *Opowiadanie Antoniego Tatarewicza.*

Największe gwałty spełnione były wówczas, kiedy w r. 1864 na Popielec zabierano kościół nasz w Łohiszynie, od 200 lat stojący na tem samym miejscu. Proboszczem był wówczas ks. Cypryan Serpowicz. Przyszła rota żołnierzy i setka kozaków. Wojsko obstało dokoła kościoła, aby Łohiszyńców nie dopuścić do wnętrza. Cisnął się jednak lud z głośnym płaczem do cudownego obrazu Matki Boskiej, za co go rozpędzano, bito nahajami i kolbami. Wówczas to kozacy i żołnierze połamali i poniszczyli wszystko, co było w kościele.

Obraz Matki Boskiej z r. 1666 z napisem łacińskim zabrały władze z kościoła, jak również cztery dzwony i sygnaturkę, kościół, który był drewniany, przeniesiono z rynku do miasteczka, a na to miejsce zbudowano murowaną cerkiew. Skoro tę popi wyświęcili, kościół spalono. Obraz Matki Boskiej zabrany Łohiszyńcom i czczony przez nich, jako cudowny, jak również i zabrane dzwony, dotąd znajdują się w cerkwi.

Po podstępem zapisaniu wszystkich Łohiszyńców na wiarę prawosławną<sup>1)</sup>, zaczęły się kary, za tajemne spełniania obowiązków katolickich. W r. 1876 Michał Juszkiewicz wzięty był razem z innymi do więzienia w Pińsku. Przyszli do niego któregoś dnia popi, gwałtem powiedli do cerkwi i z pomocą kozaków roztwierając usta, włożyli komunię. Mikołaj Czeczotka ciągniony był za włosy w Pińsku do przysięgi i wielu innych z nim razem przez żołnierzy — ale nie złożyli przysięgi. Przez 15 lat nie wolno było chować umarłych wedle woli, stróżów stawiali na mogiłkach, aby nie dopuszczać pogrzebu bez popa, mimo to popów nie przyjęli. Przez te 15 lat stał w wiosce bataljon szujskiego pułku, w każdej chacie żołnierz. Jeśli dziecko umarło, to matka trzy, cztery dni kotłowała trupa, aby ukryć śmierć i doczekać chwili, aby je można było skrycie bez popa pochować.

W r. 1869 umarła staruszka 104-letnia, Weronika Łukaszczykowa; poniosła ją rodzina na cmentarz, ale w pół drogi wstrzymani byli przez policyę i żandarmów, nie pozwalających chować zwłok bez popa. Niosący postawili trumnę z nieboszczką na drodze, policya wniosła ją napowrót do domu. Trzy dni stało ciało, w końcu czwartego dnia cała rodzina wyniosła się z domu. Przybyła wtedy policya z popem i ponieśli zwłoki na mogiłki; za pogrzebem nikt nie poszedł z rodziny. Tak samo było z pogrzebem Tracewicza i innych. Pop Dubiec z policyą chodził nocami pod okna domów, pilnując gdzie śpiewają pieśni pobożne, gdzie kto chrzci albo śluby daje — i na tych nakładano kary. Za wykryte pogrzeby, za spełnianie obowiązków religijnych, za pisanie prośb i skarg karano więzieniem i karami pieniężnymi. Po 15-tu latach dopiero wyprowadzono wojsko i wówczas stało się nieco lepiej.

Księżom pod karą nie wolno było spowiadać Łohiszyńców, ani udzielać im żadnych sakramentów. To też sami sobie oni

<sup>1)</sup> O czem poniżej.

dawali śluby i chrzcili dzieci. Mężczyźni brani do wojska — nie chcieli składać prawosławnej przysięgi. Za karę posyłano ich jako rekrutów do wojska stojącego na Kaukazie. Ponieważ nie mieli metryk formalnych, więc tracili prawo do wszelkich ulg wojskowych przy poborze.

W r. 1874 spadła na Łohiszyńców nowa bieda. Pomimo, że mieli i mają oni do dziś dnia przywilej królów polskich na ziemię, rząd odebrał im ziemię i oddał ją gubernatorowi mińskiemu, Tokarowowi. Mieszczanie nie oddawali ziemi; przyszedł wówczas bataljon piechoty, policya spędziła chłopów z okolicy i bito mieszczan. Cześć ich poprowadzono do więzienia w Pińsku. Zbiła wówczas policya i żołnierze byłego oficera, mieszczanina z orderem ś-go Jerzego. Przy biciu zdejmowano z karanych ordery: tak postąpili z Wojciechem Łukaszewiczem i dali mu 35 plag; tak samo z Leonem Widyczem.

W ciągu trzech dni władze ściągnęły w miasteczku 7.000 rs. kar i grzywien.

Po 40-tu z górą leciech mąk i prześladowań, w lecie r. 1905 po manifeście, 1.800 Łohiszyńców uroczyście w Pińsku powróciło do jawnego wyznania wiary rzymsko-katolickiej.

\* \* \*

O sposobach użytych dla zapisania Łohiszyńców na wyznanie prawosławne dowiadujemy się z urzędowej prośby podanej przez mieszczan z Łohiszyna na imię generał-gubernatora wojennego. (Tłómaczenie z rosyjskiego).

„Roku 1866, marca 18-go, stanowy 4-go stanu powiatu pińskiego, Siewruk, bez żadnego wyjaśnienia winy zaarrestował nas petentów i przez kozaków odprawił do sprawnika pińskiego, skąd nas odesłano do powiatowego pińskiego zarządu policji, który od siebie odesłał do powiatowego naczelnika wojskowego w Pińsku, który powtórnie znów nas odesłał do wyżej wspomnianego sprawnika, stąd zaś odprawiono nas do dumy pińskiej, stamtąd zaś do koszar pińskiej powiatowej straży wewnętrznej, gdzie przetrzymano nas dwa dni i odesłano do nadzorcy więziennego p. Jackowskiego dla przetrzymania w turmie miejskiej pińskiej przez dni 20. W więzieniu przetrzymano nas przez dni 20, lecz w przeciągu czasu tego wcale nie objawiono za jaką winę wsadzono do więzienia, o czem dowiedzieliśmy się tylko wówczas,

gdy z obowiązku zawezwał nas, petentów, śledczy sędzia piński Trocki wraz z naczelnikiem wojskowym Ordyńskim, z tem, że na nas przedstawił jakiś raport stanowy Siewruk, o czym dowiedzieliśmy się z zapytań stawianych jednemu z nas mieszczaninów Aleksandrowi Priputniewiczowi, ażeby opowiedział co z naszej strony było uczynione uwłaczającego wspomnianemu Siewrukowi, wówczas gdy Siewruk w tygodniu zamknięcia nas do więzienia wskutek tegoż donosu, czytał nam księgę obywatelską mieszczan Łohiszyńskich. Na takowe zapytania pp. Trockiego i Ordyńskiego opowiedzieliśmy wszystko detalicznie, czego oni jednak nie zapisali.

Dali nam do podpisu rzekome nasze zeznanie, że wszyscy byliśmy niepiśmienni, prosiliśmy, aby zawezwano więzionego w turmie za wiarę byłego organistę łohiszyńskiego, Bazylego Wasilewskiego, dla przeczytania nam zapisanego przez nich postanowienia. Owi panowie za nic się nie zgodzili, wobec czego nie wazyliśmy się dokumentu onego podpisać, bojąc się, aby nie wplątali nas w rzeczy niebywałe, bo nieraz już bywali oskarżani o tego rodzaju postęпки... Kazali nas wtedy odprowadzić do więzienia i grozili, że spiszą o nas jakiś akt.

Zatem dla zorientowania się w ich postępowaniu, jak również w postępowaniu donosiciela pana Siewruka, najpokorniej ośmielamy się prosić o pozwolenie wyjaśnienia szczegółowszego w tej sprawie :

— R. 1866, 18 marca, w piątek przed Niedziłą Kwietną przybyli do naszego miasteczka Łohiszyna z Pińska wspomniany stanowy Siewruk ze swoim pisarzem Śtalnickim i z księdzem katolickim z franciszkańskiego kościoła w Pińsku, który miał przy sobie księgę urodzenia i chrztu parafian<sup>1)</sup>. Dla pilnowania księdza naszego Kozłowskiego, tenże Siewruk postawił straż wojskową a za mieszkanie obrali sobie dom duchownego prawosławnego Bartoszewicza. Takie obejście się z księdzem naszym przy straży użyciu i przywiezienie ksiąg parafialnych, nasunęło nam, mieszczanom łohiszyńskim, podejrzenie, że wspomnieni panowie przybyli tu w sprawie naszego wyznania rzymsko - katolickiego. Jakoż w samej rzeczy Siewruk kazał nas wszystkich zawezwać do siebie, księdzu Kozłowskiemu zabronił odzywać się do nas choćby

<sup>1)</sup> Kościół łohiszyński był już wówczas od 2 ch lat zabrany a parafia przyłączona do Pińska.



jednym słowem, a wówczas wedle wskazówek duchownego prawosławnego Bartoszewicza, wszystkich mieszczan łohiszyńskich i ich rodziny zapisywano na czysty papier. Przy tej czynności, Bartoszewicz z wielką radością i zachwytem zacierał ręce i powtarzał nieraz słowa: moi, moi, moi!...

Wówczas spadł na parafian łohiszyńskich smutek wielki i uderzyli w wielki krzyk i płacz, bo poznali, że w ten sposób podstępny dla oszukania władz, stanowy Siewruk z popem Bartoszewiczem chcą chytrze powpisywać mieszczan łohiszyńskich rzymsko-katolickiego wyznania, jako prawosławnych, na zasadzie słów Bartoszewicza, że wszyscy pochodzący z mieszczan należą do prawosławia.

Tak więc poświadczenie skreślone w punkcie 1-szym doniesienie Siewruka, jakoby przez niego była wówczas czytana i sprawdzana księga obywatelska mieszczan łohiszyńskich — jest czystym wymysłem na oszukanie władz. Przez niego też zmyślone, że mu poczyniono grubiaństwa, za które nas niewinnie zasadzono do turmy, a jego, stanowego Siewruka, za oszukaństwo uczynione, pozostawiono w spokoju i nie oddano go pod sąd za nieuszanowanie dla Cesarza, pana naszego, jako nazywał siebie, że jest cesarzem i Bogiem w Łohiszynie, co słyszeli mieszczanie i inni świadkowie; również jak i urąganie z kościoła rzymsko-katolickiego, jakie tenże Siewruk czynił, nazywając wiarę naszą psią wiarą i używając innych wyrazów plugawych przy osobach duchownych. O czem jego Siewruka postępowaniu milczeć należy, nas zaś niewinnych za wiają rzymsko-katolicką, żeśmy się jej nie wyrzekli — zamęczają w turmie i rujnują w gospodarce jako rolników. Przeto ośmielamy się najpokorniej prosić Waszą Ekszelencyę nie omieszkać i uczynić dla nas rozporządzenie miłosierne o uwolnienie nas z więzienia i zawiadomić o tem, jeżeliśmy godni, nas petentów, przez pińskie bowiem władze naczelne-również jak i na inne nasze skargi zapadłe rezolucye — objawione nam nie będą.

Tu następuje osiemnaście podpisów mieszczan łohiszyńskich, wszystkich niepiśmiennych, więc za nich na ich prośbę podpisał mieszczanin N. N.

Podpisani: Aleksander Priputniewicz, Jan Janowicz, Jan Łukaszewicz, Gabrijel Korolewicz, Piotr Nikonowicz, Tomasz Krzywopust, Grzegorz Priputniewicz, Szymon Buńkiewicz, Piotr Korolewicz, Andrzej Bulczyński, Tomasz Polanowicz, Grzegorz Ole-

chnowicz, Tomasz Workacewicz, Łukasz Piskunowicz, Michał Sienkowski, Stefan Priputniewicz.

Podaliśmy w całości tę prośbę, pomimo zawilego i ciężkiego nieraz do rozplątania stylu, uważając ją za wielce charakterystyczną i bez komentarzy, z surową prostotą malującą z jednej strony niesłychaną samowolą i zacieklą nienawiść miejscowych autokratów, a z drugiej strony twardą zaciętość w nieszczęściu i ciemną, nieświadomą siebie, żywiołową miłość ku prześladowanym, a jedynie świecącym w głębokiej ciemności—ideałom.

Zdumiewającym objawem niezrażonej niczem wytrwałości na jaką tylko lud — i to lud walczący o wiarę — zdobyć się może, jest spis próśb podawanych przez Łohiszyńców do wszelkich możliwych instancji i instytucji:

Do Mińska: Mińskiemu prokuratorowi gubernialnemu r. 1867, września 25.

Mińskiemu generał-gubernatorowi r. 1867.

Do Izby sądowej mińskiej kryminalno-cywilnej, r. 1868, stycznia 1.

Do izby kryminalnej mińskiej r. 1867.

Naczelnikowi gub. mińskiej i pomocnikowi generał-gubernatora r. 1866.

Mińskiemu gubernatorowi cywilnemu r. 1866 i druga tamże w czerwcu tegoż roku i trzecia we wrześniu.

Do Wilna: Do wileńskiego konsystorza r. 1864, grudnia 30; druga prośba tamże r. 1871.

Generał-gubernatorowi r. 1867.

Pomocnikowi naczelnika kraju generałowi Kołodziejewowi r. 1866.

Naczelnikowi kraju próśb 1-sza r. 1864, 2-ga r. 1865 w maju, 3-cia w lipcu tegoż roku, 4-ta w sierpniu, 5-ta w czerwcu 1866, 6-ta września 19, 7-ma września 27, 8-ma listopada 8-go, 9-ta w grudniu tegoż roku; 10-ta stycznia 16, 11-ta stycznia 27, 12-ta 7 lutego, 13-ta 12 czerwca, 14-ta 10-go września, 15-ta 25-go września 1867.

Do Petersburga: Do Kolegium duchownego katolickiego r. 1866.

Ministrowi spraw wewnętrznych r. 1867 i 2-ga tamże tegoż roku.

Ministrowi wojny r. 1867.

Ministrowi sprawiedliwości r. 1865.

Do senatu rządzącego.

Do 5-go departamentu wydział 2-gi r. 1868 i prośba 2-ga tegoż roku.

Do departamentu spraw duchownych wyznań obcych r. 1871.

Do senatu rządzącego do ogólnego zebrania trzech pierwszych departamentów r. 1871.

Do Senatu.

Wszystkie te prośby pozostały bez skutku.



## Raport złożony gubernatorowi Kurlowowi dnia 13-go września 1905 r. przez proboszcza kleckiego ks. W. Harasimowicza w sprawie Niedźwiedzicy.

6-go września przybyliśmy z ks. Wańkowiczem do m. Niedźwiedzicy gdzie od rana znajdowały się dwie rotę z oficerami i kapitanem Krawcenką. Ponieważ roboty około pokrycia kościoła zakończone były zupełnie w sobotę, przeto ludność zajęta była zwykłą pracą. Dowiedziawszy się o zejściu do Niedźwiedzicy wojska bez władz cywilnych, mieszkańcy zbiegli się z własnej inicjatywy i spotkali wojsko chlebem i solą. Po rozmowie mieszkańcy oświadczyli, że o żadnym buncie nie myślą, lecz, że onegdaj pokryli słomą dach swego kościoła, aby ochronić Przenajśw. Sakrament i sprzęty kościelne od śniegu podczas zimy.

Wieczorem przyjechał Isprawnik i po obejrzeniu kościoła razem z oficerami udał się do zarządu gminnego. Następnie myśmy odjechali a ludność rozeszła się do domów. Wszędzie panował spokój i porządek. 9 września ja i ks. Wańkowicz przyjechalśmy do Niedźwiedzicy i znaleźliśmy mieszkańców w stanie silnego zdenerwowania i rozdrażnienia. Przyczyny tego okazały się następujące: Isprawnik z wojskiem zjawił się przed kościołem i opieczętował go; ludności było z początku niewiele, lecz później zbiegła się ona w znacznej liczbie. Podług opowiadań „naczalstwo“, przechodząc koło ludu mówiło: „A co, przedtem myśmy się was bali, a wy się teraz nas boicie“. Gdy zaś rozeszła się wieść o tem, że Isprawnik powiedział, że on sam lub przy pomocy duchownego prawosławnego wyniesie Przenajśw. Sakrament z kościoła — lud oburzył się i rzeczywiście postanowił bronić krwią swej świątyni. Jeżeli nadal policya będzie się zachowywać wyzywająco, to obawiam się, że nastąpią krwawe starcia policyi i wojska z ludnością. Dlatego też upraszam pokornie Waszą Ekszelencyę o natychmiastowe przedsięwzięcie środków w celu ukrócenia wyzywającej postawy policyi, która prawdopodobnie wciąż daje fałszywe informacje, jak to zrobili isprawnik Sztrykier i Komornyj, którzy fałszywie oskarżyli parafian z Niedźwiedzicy o rzucanie się na isprawnika z siekierami. Ekszelencyo! zapobiegać niema czemu, uśmierzać nie ma kogo — pocóż wojsko? poco dawać policyi możność doprowadzania spokojnej i głęboko religijnej ludności do walk krwawych? Uznaję, że miłość własna policyi jest tu dotknięta, że wezwano wojsko — jak musztardę po obiedzie —

ale Wasza Ekscelencyo! nie podobna pozwolić, aby taż sama policya zachowaniem się swoim doprowadzała spokojną ludność do przelewu krwi. Najpokorniej proszę o odesłanie wojska, albowiem krew niewinnych pobożnych katolików nie przysłuży się ani pożytkowi ludu, ani honorowi państwa, ani większej czci dla Osoby Monarchy, w którego imieniu otrzymano pozwolenie na tenże kościół w r. 1885. Głębokie przywiązanie parafian niedźwiedzkich do swego Monarchy wyraziło się jeszcze w tem, że umieścili oni na kościele portrety Najwyższych Osób. Cała więc ich nadzieja spoczywa w Cesarzu, po cóż więc lekceważyć tak drogie i tak potrzebne uczucie ludności.

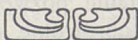
Jako uzupełnienie mojego dzisiejszego osobistego wyjaśnienia, które przedstawiłem Jego Ekscelencyi mam zaszczyt oświadczyć, co następuje: isprawnik Sztrykier fałszywie doniósł o zbrojnym napadzie na niego z siekierami — na zasadzie fałszywego raportu wezwano wojsko, na zasadzie fałszywego doniesienia oskarżono nas jako agitatorów; fałszywie doniesiono, że niezbędne jest wstrzymanie robót, podczas, gdy potrzeba ta już minęła. Ośmielam się przypuszczać, że Waszej Ekscelencyi przedstawiono jeszcze więcej takich kłamstw, o których my nie wiemy i których nie możemy obalić. Pozatem powiem jedno: oto, jeżeli w Niedźwiedzicy nastąpi przelew krwi to stanie się to z winy władz policyjnych, które wszelkimi sposobami starają się wciągnąć ciemną ludność w wstrętą sprawę, o czem niech będzie wiadomem Waszej Ekscelencyi.

### **Memoryał podany przez dra Wolańskiego ministrowi Trepowowi w Petersburgu.**

W r. 1885 pozwolono na zastąpienie w Niedźwiedzicy kościoła, z powodu jego starości, przez kościół nowy, zbudowany na miejscu dawnego. Plany nowego kościoła, oraz wszystkie potrzebne dokumenty były przesłane z Ministerjum Spraw Wewnętrznych do gubernatora Mińskiego, poczem nastąpiła propozycja proboszcza kościoła niedźwiedzkiego ks. Leona Bulwina — zamknięcia kościoła i oddania go władzom prawosławnym. Włościanie mówią, że starszyna gminy i pisarz sporządzili protokół fikcyjny o ich zgodzie na propozycję powyższą; dlatego włościanie zawczasu zabrali klucze od kościoła i zakomunikowali, że nie pozwolą księdzu wynieść Najśw. Sakramentu, który pozostał tam do dnia dzisiejszego; u kogo znajdują się klucze — niewiadomo. W r. 1886 został wydany Ukaz Najwyższy o zamknięciu kościoła w Niedźwiedzicy i oddaniu go władzom prawosławnym. Od tej pory włościanie nie przestali czynić zabiegów u Rządu o rozpatrzenie ponowne ich sprawy i wnosić podań na Najwyższe Imię o darowanie im kościoła. Przed laty dziesięciu Rząd przychyłając się do ich prośby już zgodził się na danie pozwolenie na budowę nowego kościoła poza wsią o ile nastąpi dobrowolne oddanie starego kościoła władzom prawosławnym. Jednakże włościanie upierali się w dalszym ciągu na tej podstawie, że przy starym kościele znajdują się groby ich przodków.

Kiedy w lutym 1903 r. został wydany Ukaz Najwyższy o wyznaniach obcych, we włościanach obudziła się jeszcze większa uadzieja, że kościół będzie im darowany i odtąd bezustannie przyjeżdżali oni do Petersburga, zwracali się do osób prywatnych (między innymi trafili i do autora tego memoriału), padając do nóg i błagając o wskazanie im drogi oddania osobście ich podania Jego Cesarskiej Mości; chodzili po ulicach w nadziei zobaczenia Cesarza, aby upaść na kolana i wręczyć swoje podanie Jego Cesarskiej Mości; wreszcie szukali okazji zapoznania się z kimkolwiek ze służby Dworu Cesarskiego, aby tą drogą doręczyć Cesarzowi swoją prośbę, robiąc to w przekonaniu, że człowiek prosty prędzej i życzliwiej wejdzie w ich położenie. Ich gorliwości religijnej nie osłabiło nawet wysłanie kilku petentów z rozporządzenia hrabiego Musina - Puszkina, byłego gubernatora mińskiego na dwa lata z granic gubernii mińskiej. Kiedy 17-go kwietnia ogłoszona została Najwyższa łaska tolerancyjna, włościanie zrozumieli, że teraz kościół został im darowany, zaczęli prosić arcybiskupa hrabiego Szembeka o mianowanie proboszcza dla ich parafii i ośmielili się pokryć słomą zawalony dach świątyni, aby ochronić Przenajśw. Sakrament od niepogody, przedtem w ciągu lat 19, oni nigdy nie pozwalali sobie wchodzić do kościoła, modlili się w obrębie ogrodzenia i nigdy nie popełnili nic niewłaściwego, za co władze administracyjne mogłyby ich ukarać, jednym słowem tylko prosili i zawsze byli w porządku. Obecnie powiesili oni na kościele portrety Ich Cesarskich Mości, modlą się za Ich zdrowie i są przekonani że tylko władze administracyjne nie wypełniają Najwyższej woli co do oddania im kościoła. 6 września r. b. przybyło do Niedźwiedzicy wojsko w celu wprowadzenia w czyn Najwyższego Ukazu z r. 1886. Włościanie spotkali wojsko chlebem i solą, prosząc, by nie odbierać im kościoła. Oczekiwanie w ciągu lat dziewiętnastu i nadzieja, że jednak świątynia kiedyś będzie im powrócona — doprowadziły ich do takiego stanu religijnego, że gotowi oni są poświęcić siebie w obronie swojej świątyni i w ten sposób, w swoim pojęciu, uzyskać koronę męczeńską. Fanatyzm ten wzmacnia jeszcze okoliczność następująca: dowiedzieli się oni, że miński biskup prawosławny odmówił przyjęcia ich kościoła pod swój zarząd, która odmowa, być może, została uwarunkowana tem, że w ogromnej wsi Niedźwiedzicy wszyscy włościanie są katolikami, z wyjątkiem tylko czterech prawosławnych, a zaś w całej dawnej parafii niedźwiedzkiej jest do 10 tysięcy parafian katolików.

Prawdopodobnie Rząd, wiedząc o ich podnieconym nastroju religijnym, z uczucia litości nad nimi w ciągu lat 19 nie uciekał się do środków gwałtownych w celu usunięcia Przenajw. Sakramentu z kościoła. Oto dla czego w obecnym momencie krytycznym autor tego memoriału uznał za swój obowiązek obywatelski zwrócić się do Waszej Wysokiej Ekscelencji z najpokorniejszą prośbą o danie opieki włościanom.



## SPIS RZECZY.

---

Wieś Niedźwiedzica.

*Z powiatu słuckiego.* (Ogólne tło. — Duchowieństwo. — Oporni. — Nieśwież. —  
Bobownia. — Zamość. — Lachowicze).

*Z powiatu mińskiego.* (Wołna. — Zasław. — Dubrowa. — Rubieżewicze. —  
Słobodka. — Iwieniec. — Raków).

*Z powiatu pińskiego.* (Łohiszyn).

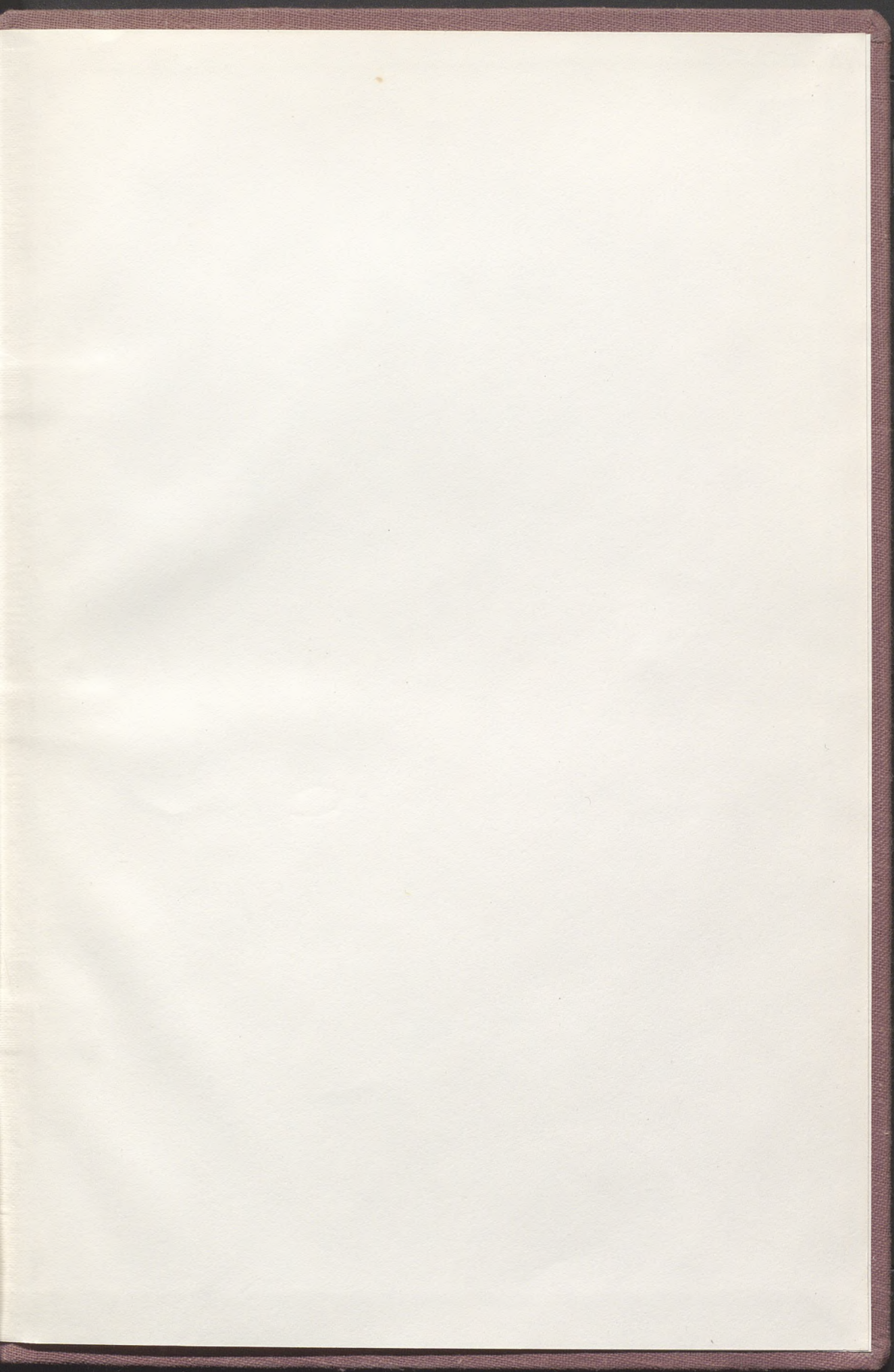
Dwa memoryały w sprawie Niedźwiedzickiej.

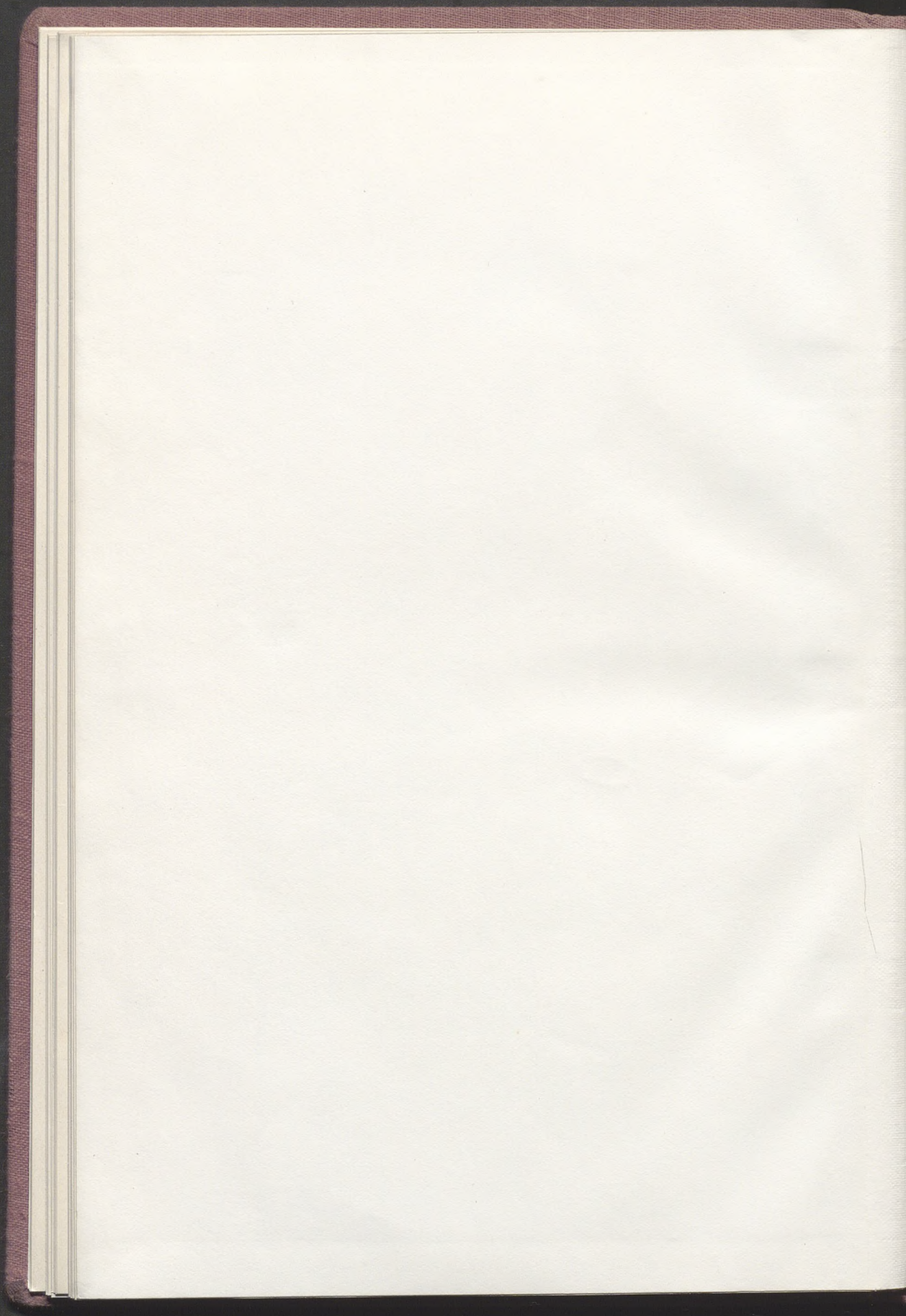
---

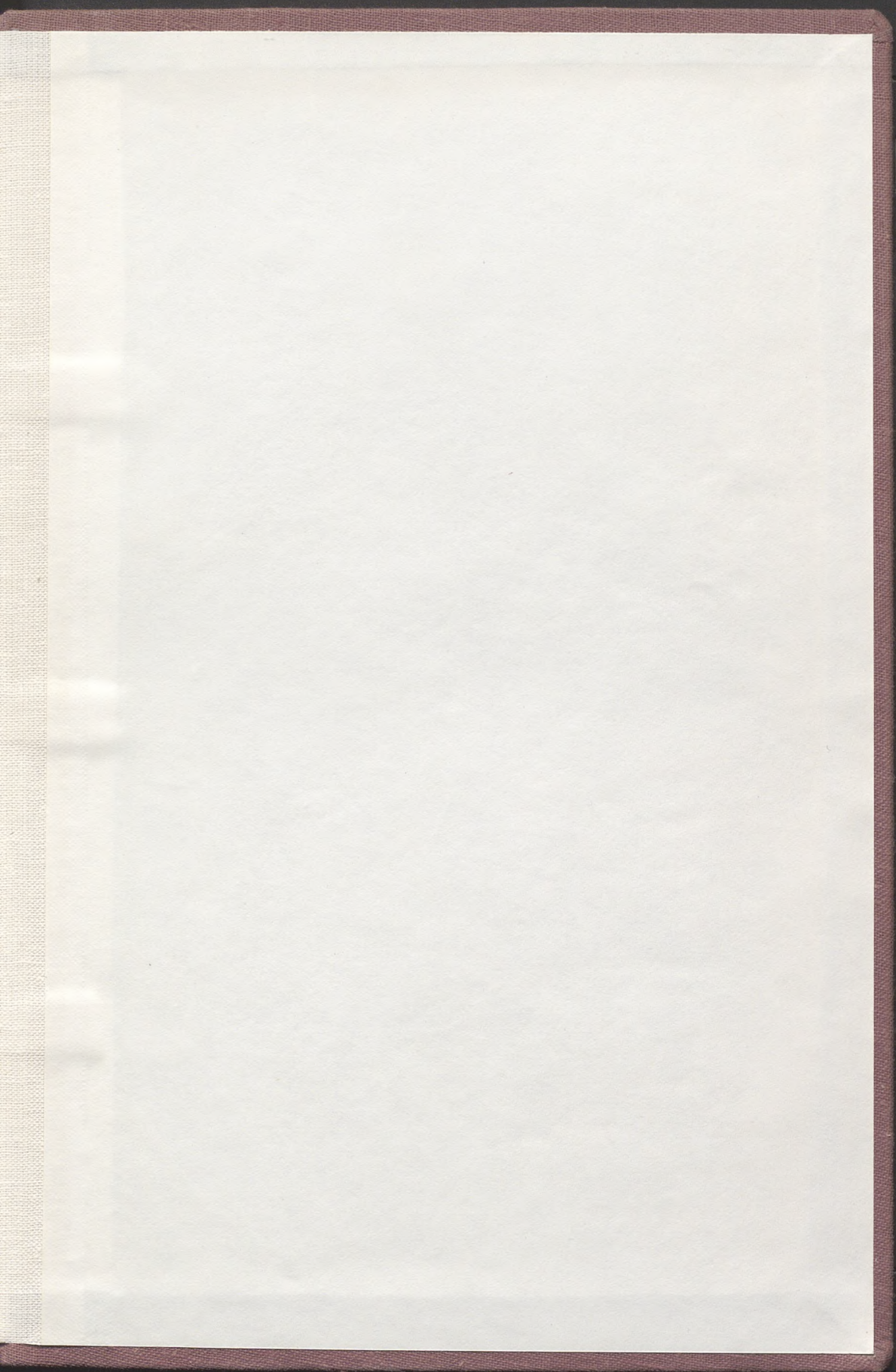
II 2024,558













2004920

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001010172412